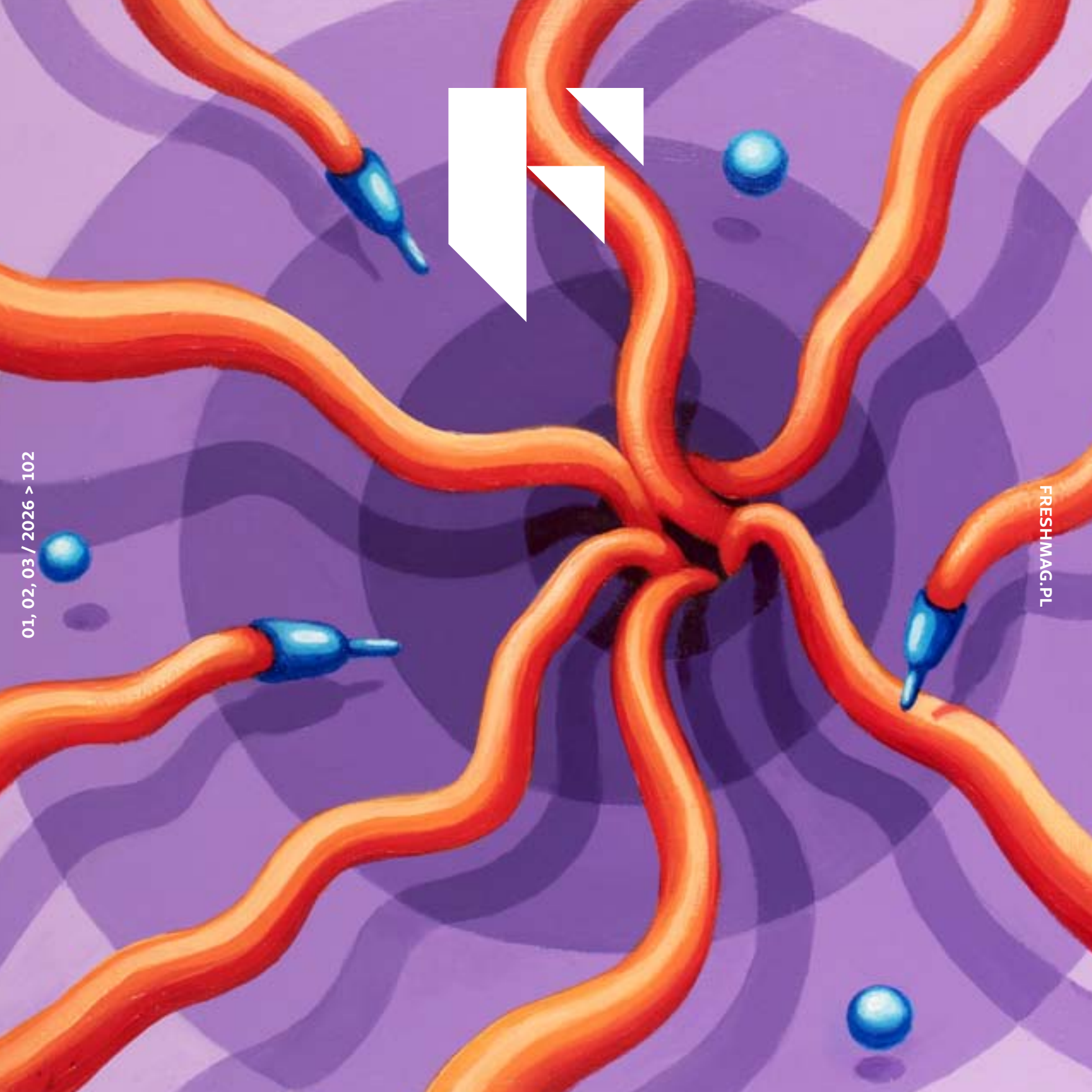
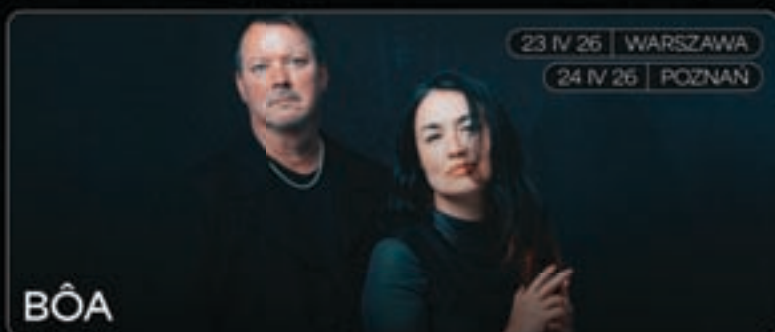




WINIARY BOOKINGS PREZENTUJE



KUPOJ BILETY NA:
WINIARYBOOKINGS.PL

ORAZ W SIECIACH SPRZEDAŻY:
GOING / EMPIK BILETY
EVENTIM / EBILET / TICKETMASTER

PATRONEM WYBRANYCH
KONCERTÓW
JEST ANTYRADIO





Intro

Wydawca: **Michał Krupski**

Zima w Poznaniu zwykle nie rozpieszcza – szaro, zimno i wszyscy żyją nadzieją, że to już ostatni taki tydzień. Tym razem jednak coś się nie zgadza. Choć polityczne przepychanki prezydenta z odwołanym zastępcą wciąż dominują nagłówki, spod tej medialnej brei zaczęły wyłaniać się sygnały, że miasto żyje. I to całkiem głośno. Nawet jeśli w tle po raz kolejny słyszymy zapowiedzi nowego dworca – bo ten, który już mamy, wciąż bardziej nadaje się do robienia zdjęć niż do sprawnego łapania pociągów.

Poznań wyraźnie złapał kulturalny oddech. Agencje koncertowe prześcigają się w ogłoszeniach, a lista artystów, którzy zagrają w tym roku, robi wrażenie: Gorillaz, Sex Pistols, Paul Kalkbrenner, Public Image Ltd., Twenty One Pilots, Xzibit, Lorde, Tom Odell, Beirut, Meute czy Godspeed You! Black Emperor. Każdy znajdzie coś dla siebie, a do tego dochodzą trzy naprawdę ciekawe festiwale z międzynarodowym line-up'em. Krótko mówiąc – coś drgnęło. I to wyraźnie. Jeszcze niedawno miasto kojarzyło się z kilkunastoma lokalnymi festiwalikami, dziś ludzie z całego kraju przyjeżdżają na BitterSweet, Rockowiznę i Maltę. Wstydu nie ma.

W sam raz na ten moment oddajemy w Wasze ręce najnowszy numer Freshmaga. Znajdziecie w nim rozmowę z Michałem Wiraszko, dziś odpowiedzialnym za organizację legendarnego Jarocina oraz historię Red Smoke Festival w Pleszewie, opowiedzianą przez jego twórcę, Jędrka Wawrzyniaka.

Mery Spolsky zabiera nas do świata mody, Eskaer opowiada o nadchodzącej wystawie, a Zbigniew Zachariasik oprowadza nas przepięknych klatkach wartych Poznania. Sprawdzamy też, czym Poznań może chwalić się w Europie – Kinem Muza i muralami. Nie zabrakło rozmów z artystami sceny elektronicznej i hip-hopowej – Bambi Uzi, neeVald i Szygenda opowiadają o swojej twórczości. Zaglądamy też do Slow – młodszego brata Tamy.

Mamy też tematy poważniejsze: rozmowa z poznańskimi ekspertami od psów ratowniczych działających w Syrii oraz z Migrant Info Point w Poznaniu.

Resztę zostawiamy kulturze, muzyce i ludziom, którzy robią swoje – niezależnie od politycznego hałasu. Czasem najlepszym wyborem jest po prostu odkręcić głośniej dobrą płytę, wyjść na koncert i przypomnieć sobie, że miasto to coś więcej niż nagłówki.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

REDAKCJA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Julia Lipowicz
Kacper Jakubiec
Natalia Bednarz
Sylvia Klaczyńska

Zofia Myślicka
Rafał Szaroleta
Karolina Sierszulska
Wojciech Kasprzak

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Eskaer

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

Michał Wiraszko
Rozmowa o twórczości i nowym początku
na Jarocin Festiwal

4

10 **Hymny dorosłych dzieciaków**
Wywiad z Szygendą

Digital Delusion
Dwa równoległe światy Eskaera

14

20 **Artystyczne Murale**
Grupa zajmująca się wielkoformatowymi
muralami w przestrzeni miejskiej

Klatki warte Poznania
Zbigniew Zachariasik w opowieści o mieście,
jego historii i ludziach

28

34 **Najlepsze kino w Polsce**
O miłości do filmów i widzów

Polska dziewczyna
Kreacje Mery Spolsky

40



K9 NosePrint Project Syria
Polska pomoc na dwie ręce i cztery łapy

46

Kondycja polskiego stoner rocka
Rozmowa Jędrkiem Wawrzyniakiem,
liderem zespołu Red Scalp

54

Druga strona tego samego świata
Nowy klub Slow

67

50

Migrant Info Point w Poznaniu
Ponad Dekada Budowania Mostów
i Wspólnoty Międzykulturowej

58

Za miłością do dźwięku
Wywiad z Bambi Uzi

70

Dwie dekady z muzyką house
Wywiad z neeValdem



„Presja niesamowicie mnie zmobilizowała”

Michał Wiraszko

Rozmawiał: **Michał Krupski**

Zdjęcie: **Maciek Lachowicz**

Michał Wiraszko – wokalista zespołu Muchy, świeżo upieczony artysta solowy, współtwórca Next Fest i dyrektor artystyczny Jarocina, a od tego roku również jego organizator. Rok 2025 okazał się dla niego wyjątkowo intensywny – pełen nowych ról, decyzji i projektów, które tylko potwierdzają, że Wiraszko od lat jest jedną z najważniejszych postaci na poznańskiej scenie muzycznej. Trudno go nie lubić, jeszcze trudniej nie spotkać, bo gdziekolwiek w mieście dzieje się coś muzycznie istotnego, tam prędzej czy później pojawia się on.

Jarocin Festival zmienił organizatora. Good Taste, z którym współpracowałeś przez wiele lat, wycofał się z projektu. Z kolei nowy organizator jest mocno związany z Twoim nazwiskiem. Opowiedz o kulisach tej zmiany.

Stanęliśmy do konkursu razem z wieloletnim współproducentem m.in. Męskiego Grania, Michałem Sądejem i jego Powozownią. Mam wrażenie, że dogadaliśmy się na zasadzie przeciwnieństw. Ja zajmuję się bookingiem, promocją i tym, co dzieje się na scenie – charakterem i jakością artystyczną festiwalu. Michał odpowiada za całą produkcję, bez której festiwal po prostu nie mógłby się odbyć. Z tym założeniem wystartowaliśmy i po prostu szczerze: konkurencję pokonaliśmy zdecydowanie, z bardzo wyraźną przewagą punktową w ocenie komisji konkursowej. Myślę, że zadecydowała koncepcja programowa.

Skąd wzięła się ta koncepcja?

To pochodna osiemnastu lat spędzonych w Jarocinie. Pierwszy raz przyjechałem tam do pracy jako 25-letni chłopak. Tego się nie zapomina. Jeżeli Stargard dał mi wychowanie, a Poznań wykształcenie, to Jarocin dał mi pierwsze zatrudnienie. Tam spędziłem pierwsze lata dorosłego życia.

Jaką dokładnie pełniłeś wtedy rolę?

Jestem z zawodu dyrektorem. Od razu spotkał mnie zaszczyt i przywilej być dyrektorem artystycznym festiwalu, a żeby nie było tak nadęcie – kaowcem programowym. (śmiech)

To był czas boomu na Muchy i *Terroromans*. Odradzający się Jarocin miał mieć nową energię i tą energią miało być nasze pokolenie – nowe twarze gitarowego grania w Polsce. Tak spędziłem w Jarocinie ponad dwa lata, kilka razy w tygodniu dojeżdżając z Poznania. Zrobiliśmy wspólnie z Łukaszem Mintą dwie bardzo udane edycje.

Później, gdy Muchy po drugiej płycie miały w planach bardzo intensywny kalendarz koncertowy, zrozumiałem, że nie da się pogodzić obu ról. Przekazałem festiwal w dobre ręce i pojechałem w trasę, która trwała półtora roku. Graliśmy wtedy po 90–100 koncertów rocznie.

Ale wróciłeś później do Jarocina...

Tak. Kolejny, ponad dwuletni epizod przeżyłem w latach 2017–2018. Zrobiłem wtedy dwie edycje festiwalu, po czym znów wróciłem do czynnego grania.

Okazało się, że emocje wokół płyty *Terroromans* i zespołu po 10 latach wcale nie wygasły. Publiczność nadal chciała przychodzić na Muchy. Od tamtej pory – z krótką przerwą na Next Fest (Michał jest inicjatorem i jednym z pomysłodawców poznańskiego showcase'u – przyp. red.) i oczywiście pandemię – zajmowałem się głównie muzyką na scenie.

Co sprawiło, że znów wróciłeś do organizacji festiwalu?

Gdy ogłoszono konkurs, poczułem, że chyba znowu chcę to zrobić. Co zabawne – jeszcze w styczniu, kiedy zęgnąłem się



fot. Maciek Lachowicz

z Next Festem, obiecałem sobie, że teraz będę już tylko muzykiem. Wytrzymałem dziesięć miesięcy.

Wracam więc do zabawy nie tylko na scenie, ale i za nią. Mam za sobą dwa miesiące bardzo intensywnej pracy, ale festiwal zaczyna nabierać rumieńców.

Teraz jesteś już nie pracownikiem, a formalnie organizatorem. To inne obciążenie i inne ryzyko. Jak się z tym czujesz?

Dopóki nie ogłosiliśmy pierwszego zestawu artystów i nie ruszyła sprzedaż biletów, byłem przerażony. Wizualizowałem sobie bankructwo, utratę mieszkania, same najgorsze scenariusze. Taka jest moja głowa pod presją.

Z drugiej strony ta presja niesamowicie mnie zmobilizowała. Pracowałem w grudniu od rana do późnej nocy, spałem po 3–4 godziny. Ale udało się – ogłosiliśmy pierwszych ośmiorgo artystów bardzo ważnych dla jarocińskiej publiczności.

Jaki będzie Twój Jarocin?

Pierwszym ogłoszeniem chcieliśmy powiedzieć: „Jesteśmy tu dla was, nic się nie zmienia”. Nie planuję rewolucji.

Jarocin to festiwal, który wychował kilkaset tysięcy ludzi i każdy z nich powie: „To jest mój Jarocin”. To jest piękne i ob-

ciążone odpowiedzialnością. Jestem w takim wieku, że nie robię już festiwalu dla siebie. Bardzo szanuję emocje, wspomnienia i oczekiwania publiczności. Jeśli chcę zrobić coś tylko pod siebie, to odpalam YouTube’a. Jeśli robię festiwal dla ludzi – słucham ich.

Natomiast to, co wyróżni ten festiwal dopiero się wydarzy. Przed nami ważne ogłoszenia.

Czy w tym roku pojawią się artyści zagraniczni?

Raczej nie. Artystów zagranicznych trzeba bukować z ogromnym wyprzedzeniem – jesienią, a nie zimą. Nie chcę zapraszać „kogośkolwiek z zagranicy”.

Zamiast ścigać się z gigantycznymi koncertami – a w lipcu będzie ich mnóstwo – chcę się od tego odróżnić. Bardzo ciekawi mnie, co się wydarzy, jeśli zagramy festiwal oparty wyłącznie na polskim rocku. Widzę, jak świetnie publiczność reaguje na polskich artystów. Może to jest właśnie jarocińskie DNA.

Jakie elementy festiwalu chcesz szczególnie wzmocnić?

Bardzo chcę przywrócić blask Rytmom Młodych. Chciałbym, żeby to była perełka festiwalu, a nie tylko dodatek. Mam na to konkretny pomysł.

Myślę też o połączeniu Jarocina z częścią konferencyjną – to formuła, której w Polsce nie ma: najstarszy festiwal rockowy połączony z konkursem debutantów i zapleczem edukacyjnym. Widzę, jak niesamowity potencjał mają dziś młode zespoły. Dzieciaki w wieku 17–19 lat mają już swoją publiczność. Mają pasję i ogień.

Mam wrażenie, że Jarocin znów może być miejscem, gdzie rodzi się zjawisko, a nie produkt. Tak jak kiedyś.

Przejdźmy do Twojej wydanej chwilę temu solowej, debiutanckiej płyty. Podobno bardzo długo dojrzewałeś do tego kroku.

Pierwszy raz pomyślałem o solowej płycie w 2011 roku. Zacząłem nawet pisać piosenki, ale dziś się cieszę, że tego wtedy nie zrobiłem. To byłby fałszywy ruch. Nagrałbym płytę w stylu Junior Boys.



fot. Maciej Chomik

Bardzo ciekawi mnie, co się wydarzy, jeśli zagramy festiwal oparty wyłącznie na polskim rocku

Moje życie zawsze krążyło wokół muzyki: na scenie, za sceną, w radiu. Czerpię taką samą satysfakcję z grania koncertów, jak i z tego, że mogę pomóc innym artystom dawać ludziom emocje.

Przełomem była czterdziestka i narodziny syna. Pomyślałem: „Dobra, już pora przestać chować się za szyldem zespołu”. Po pół roku solowej drogi wiem, że to zupełnie inny świat – bardziej profesjonalny, bardziej odpowiedzialny, ale też bardzo ekscytujący.

Uciekłeś z Poznania, żeby nagrać tę płytę. Dlaczego?

Bo gdy jestem w Poznaniu, automatycznie robiłbym kolejną płytę Much. Nie umiem wyjść z aury „Miasta doznań”. Chciałem, żeby ten materiał nie był naznaczony tym stemplem. Powstał poza miastem – po to, żeby być czymś innym, osobnym.

A skład zespołu? Są tam muzycy z Much?

Na scenie gram ze Stefanem Czerwińskim i Michałem Drozdą. To muzycy wychowani na Muchach, ale nie z pierwotnego, „ojcowskiego” składu. Wspaniali artyści – uwielbiam pracować z nimi nie udając, że to jest zespół Muchy pod inną nazwą.

Muchy ostatnio zniknęły z radaru. Wygląda to jakbyście nie mieli już parcia na ciągłość grania. Przed ostatnim styczniowym koncertem dowiedziałem się, że więcej ich w tym roku nie będzie.

Nie planujemy innych koncertów w Poznaniu w tym roku. Chyba że wydarzy się coś naprawdę wyjątkowego, choć szczerze mówiąc – wątpię.



fot. Sylwia Klaczyńska

Dlaczego w pewnym momencie przestaliście dążyć do tej ciągłości grania?

Na początku mieliśmy na to ogromne parcie. Ale ta ciągłość bardzo nas przeorała. Ciągły przymus: terminy, płyta, kontrakt, studio. Muchy to nie jest taki zespół. To był i nadal jest naprawdę rock'n'rollowy organizm – duże emocje, ogromna intensywność. A takie zjawiska z natury nie trwają długo.

To trochę jak z ogniem. Jeśli pali się małym, równym płomieniem, trwa długo. Jak jebnie pochodnią, to pali się krótko. Muchy są trochę jak taka pochodnia. Warto ją rozpalać raz na jakiś czas, ale jeśli próbujesz z nią chodzić cały czas, to szybko wypala się trzonek.

Tak jak zespół bardzo szybko wystrzelił, tak samo szybko zniknął. O Muchach było słyhać wszędzie, a nagle – cisza. Wiele osób pisało, że w ogóle już nie istniejemy, że się rozpadliśmy. A my mieliśmy po prostu cztery lata zimy.

W tym czasie realizowałeś też inne muzyczne projekty, m.in. ten folkowy związany z Powstaniem Wielkopolskim. Jak do niego doszło?

Dostałem zaproszenie od Urzędu Marszałkowskiego. Od razu zaznaczyłem, że jeśli ktoś oczekuje strzelb, rogatywek i cepelii, to nie ze mną. Zrobię to po swojemu – oddolnie, z pełnym zaangażowaniem, ale na własnych zasadach. Zgodzili się.

Ta płyta obroniła się sama. Miała bardzo dobre recenzje, była nawet nominowana do Fryderyka. Co ciekawe, zrobiła znacznie więcej szumu poza Poznaniem niż w samym mieście. Myślę dziś o wznowieniu jej na winylu, bo sporo osób o to pyta – takich, które słuchają muzyki z pasją, audiofilów.

Wspólnie z Michałem Szturomskim połączyliśmy na niej tradycyjne, wielopolskie instrumenty – koźły, skrzypce – mazanki i klarnety z syntezatorami. Udało się zbudować całkiem wiarygodny dialog między współczesnością, a muzyką ziem wielkopolskich – wtedy Provinz Posen – sprzed stu i więcej lat. To ta muzyka łączyła wtedy ludzi – mieszkańców nieistniejącego państwa – jak uniwersalny język. To w niej przetrwało to nieistniejące państwo.

Masz na koncie mnóstwo różnych innych projektów, nie tylko muzycznych. Skąd ta potrzeba działania na tyłu polach?

Rzeczywiście, było tego sporo. Może to trochę samospełniające się proroctwo, ale ja po prostu mam taką energię.

Jestem ogromnym fanem Serge'a Gainsbourga. Kiedyś zapytano go: jest pan reżyserem, aktorem, kompozytorem, tekściarzem, wokalistą – kim pan chce być? Odpowiedział: wszystkim. I to jest mi bardzo bliskie. Jest w tym coś chaotycznego, coś na granicy ADHD. To bywa męczące, ale jest też darem. Z wiekiem uczę się z tego korzystać, bo jeśli nad tym nie panuję, idę w autodestrukcję.

Wyobrażasz sobie pracę na etacie?

Nie ma szans. Próbowałem. Mam trudność z pracą „dla kogoś”. Ja muszę trzymać za klamkę. Mogę być z ludźmi, dla ludzi, mogę im sprzyjać i pomagać, ale muszę trzymać ster.

„Muchy są trochę jak taka pochodnia. Warto ją rozpalać raz na jakiś czas, ale jeśli próbujesz z nią chodzić cały czas, to szybko wypala się trzonek”

Oczywiście spotkałem po drodze wspaniałych ludzi, od których dużo się nauczyłem. Takich jak Łukasz Minta czy Tomik Grewiński. To są wizjonerzy. Obserwowanie ich było dla mnie ogromną lekcją.

Poznań jest bardzo silnym miastem muzycznie. Mamy aktywnych prawie pół tysiąca kapel. Dlaczego u nas nie ma alternatywnego oddolnego festiwalu z prawdziwego zdarzenia?

Były próby – jak festiwal Rafineria w 2009 roku w Starej Rzeźni – dokładnie coś takiego, o czym mówisz. I to się nie utrzymało.

Nie wiem. Być może nie narodziła się jeszcze siła, która byłaby w stanie to unieść dłużej niż jednorazowe wydarzenie. Ja wywodzę się z pokolenia, dla którego wzorem działań oddolnych były Kisielice i Michał Marcinkowski. Dwadzieścia lat temu potrafił zapraszać amerykańskie zespoły do grania dla dwudziestu osób. To była prawdziwa alternatywa.

Na koniec porozmawiajmy o Lechu Poznań. Jak doszło do powstania utworu „Nie idziesz sam”?

Klub odezwał się z propozycją stworzenia piosenki na 95-lecie Lecha.



fot. Maciek Lachowicz

To jedno z najbardziej nobilitujących doświadczeń w moim życiu. Ogromny przywilej. Nigdy nie myślałem, że będę miał taką szansę. Ta piosenka wzbudza w ludziach potężne emocje. Co ciekawe – ona nie była „na strzał”. Ona cały czas rośnie.

To jest w naszej (współautorem muzyki jest Adam Brzozowski – przyp. red.) wersji mało trybunowa piosenka. Może dlatego żyje bardziej w sercach ludzi niż na stadionie. Być może kiedyś ktoś wykona ją tak, że pójdą za nim trybuny.

Lech absolutnie potrzebuje własnego hymnu, z własnym DNA. Hymn musi dojrzeć, musi przyjść oddolnie i jeśli „Nie idziesz sam” kiedyś się nim stanie – będę dumny i szczęśliwy. „W górę serca” jest oczywiście uroczą piosenką i uwielbiam ją, ale nie zapominajmy, że to „Yellow Submarine” Beatlesów.

Sam jesteś kibicem, więc wypowiedz się o grze. Jak oceniasz szanse Lecha w tym sezonie?

Tabela jest bardzo ciasna i nieprzewidywalna. Lech jest dziś zespołem poukładanym, przemyślanym, dobrze zaprogramowanym. Ja pamiętam czasy drugiej ligi, więc naprawdę nie narzekam.



Hymny dorosłych dzieciaków

Szygenda

Rozmawiał: **Dawid Balcerek**

Zdjęcia: **Jakub Szcześniak**



Niedawno toczyłem dyskusję z jednym z kolegów z branży, że na poznańskiej scenie rapowej brakuje młodego pokolenia artystów. Żeby nie było wątpliwości. nasze miasto jest cały czas piekielna mocne na tle kraju, ale w tym stawie brakuje świeżego narybku. No i wjeżdża sobie młody chłopak z Wildy i każe przytrzymać piwo. Szygenda, bo o nim mowa, wygrał konkurs *Poznań my name is 3.0*, a w potem wydał EPkę pt. „Młody Leń”. To nie jest kolejna kalka amerykańskiego trapu z nieudolnym autotunem. Nie ma też tutaj wszech obecnego przerostu formy nad treścią, którą często widzimy na klipach u młodych raperów. Tutaj jest hip-hop. Z Poznania.

Kupujesz płyty w wersjach fizycznych, czy jest to dla Ciebie już relikw z poprzedniej epoki?

Kupuję teraz głównie ziomali, ale nazbierałem również ważne dla mnie cedeki, które zawsze są blisko mnie, gdy pisze też swoje. Wszystko po to, żebym mógł przypomnieć sobie po co to robię. Myślę, że to nie jest relikw z poprzedniej epoki, to bardziej sposób na kolekcjonowanie hip-hopu niż rzeczywisty sposób odtwarzania muzyki.

„Robię to, żeby być na zawsze, a nie na chwilę”

Spytałem, bo swój debiut wydałeś już rok temu, ale tylko w stimingu. Dopiero teraz zdecydowałeś się na puszczenie płyty w wersji fizycznej. Dzisiaj młodzi artyści rzadko się na to decydują. Skąd taki pomysł?

Debiut wydałem rok temu, również fizyka, ale nie sprzedawaliśmy tego wcześniej, bo nie chciało mi się ogarniać tematu. „Młody Len” (alter ego) oprócz robienia dobrego rapu, czasem sabotuje Szygende.

Byłem na Twoim koncercie w 3-ciej Stronie Baru. Poczułem się tam jak na początku lat 2000 w Piwnicy 21. Muzycznie romansujesz również ze starszymi brzmieniami. Jakie brzmienie Tobie najbardziej pasuje?

2010's mnie ukształtowało i zawsze tam wracam, gdy potrzebuje komfortu i trochę inspiracji. Przez to chyba tak dobrze się czuje na trapowych cykaczach oraz nieoczywistych samplach. Mam wrażenie, że oldschoolowe brzmienie ciężkich bębnów ma ze mną jakiś dziwny romans i brzmie najlepiej sunąc po „90-tkach”.

Pod sceną miałeś spory fanbase. Można już śmiało mówić, że historia zatacza koło i nie mówię tu tylko o stylu ubierania z przełomu wieków, ale również o tamtym brzmieniu. Widzę wśród młodych ludzi coraz większe zainteresowanie historią muzyki i chęcią jej poznawania. Zgodzisz się z tym?

Myślę, że to kwestia zmęczenia materiału. Kolejny rok idziemy w coraz bardziej przebudżowane produkcje. Gdy puścisz sobie muzykę sprzed dwóch dekad, to poczujesz pewien oddech oraz nabierasz trochę inspiracji, które można wykorzystać ina-

czej niż wszyscy. Nie da się iść do przodu, nie myśląc o tym, co było w przeszłości. Tu pozdro dla kminiących w pierwszym rzędzie w klubie. Gram dla was!

Na jakim rapie się wychowałeś i co lubisz wrzucić sobie aktualnie na słuchawki?

Mnie wychował Eminem puszczany na telefonach, takimi jeszcze z guzikami. Kiedyś mama mnie przyłapała na słuchaniu „Materialnej dziwki 2” Rycha i skończyło się tolerowanie rapu. Musiałem się kitrać. (śmiech)

Białaś wydał „Mamo sięgam gwiazd” i mi odbiło na punkcie rapu – wtedy zacząłem świadomie nosić dres. „H8M4” Białaśa, „Kosh” Adiego Nowaka, „KPM” Bedoesa – to takie trzy albumy, które ukształtowały mój gust. A potem uciekłem do Ameryki i słuchałem „2016 soundcloud raperów”, aż nie poznałem Mac Millera i ta obsesja trwa do dziś.

Wziąłeś udział w projekcie Kayaxu, gdzie pojawiłeś się na płycie *Poznań my name is 3.0*. Powstał nawet klip do numeru „The WILDest”. Poczułeś, że udział w tym przedsięwzięciu Ci w jakiś sposób pomogło? Właśnie staruje kolejna edycja tego projektu. Polecilibyś młodym artystom udział w konkursach?

Wziąłem udział, nawet to wygrałem. (śmiech) Branie udziału w konkursach jest spoko, bo musisz być lepszy niż reszta, a to chyba o to chodzi. Jednak sam udział nie daje za dużo. „Góra” wybrała inne numery do promocji składanki. Ten klip zrobiłem za swoje. Dzięki Bogu za Kodasa, który ogarnął elegancko temat. Mam wrażenie, że to najprostsza i najlepsza produkcja na moim kanale.

Tak, ten numer, jak i sam klip są dobre i warte większego rozgłosu. W sumie dowiedziałem się o nim całkiem przypadkowo, a nie dzięki tej składance.

Ano, problem z promocją numerów jest taki, że wszyscy się promują, bo się da i ciężko jest się wbić w „doomscrollujący umysł”, który ma dość promujących się raperów. Prędzej czy później dobra muzyka w końcu dotrze tam, gdzie ma dotrzeć. Robię to, żeby być na zawsze, a nie na chwilę.

„Durny, leniwy, ale za to jaki piękny”. Te trzy przymiotniki Cię określają?

Durny, bo tak nazywają „Romantyka” dziewczyny. Jak pakuje to „Leniwy”. Wiadomo oooooo za to jaki piękny – to „Narcyz”, który miał akurat ostatnie słowo. Te określenia to Trójca Święta, która mną targa od wewnątrz.

„Nie jestem głosem ulic, bo za mało tam przebywam”. Jak określiłbyś muzykę, którą tworzysz?

Świadomą. Hymny dorosłych dzieciaków.

Poznańska scena istnieje już przeszło 30 lat, ale nigdy jeszcze nie doczekała się rapera z Wildy, który przebiłby się w kraju. Jak sam nawinałeś, piszesz po to, żeby już nie pytali kim jesteś. Jakie masz ambicje?

Ja chcę zwyciężyć, budować piękne światy swoją twórczością, wywoływać emocje, łączyć ludzi, dzielić penę z moimi braćmi, zwiedzić coś więcej niż Poznań. Wszystko to czerpiąc inspiracje z różnych energii na świecie i patrząc w lustro, widzieć kogoś kogo fanem chciałbym być. Btw. sprawdźcie esencję Wildy – Rajaja M.

Z kim pracowałeś przy swoim debiucie? Płyta jest bardzo spójna i ma melodyjny vibe.

Z Antisocialem. Dostał cały scenariusz i dzielnie walczył z moim opisem „Leniwej Historii” – dał radę. Przestuchałem te płyty przynajmniej 3 razy...

Zostałeś również doceniony przez środowisko. Niedawno w jednym z wywiadów sproposował Cię Gural. Czy to duża nobilitacja usłyszeć takie słowa od takiej osoby?

Gural to jest boss. Jeszcze nie mieliśmy okazji uścisnąć sobie dłoni, ale mam nadzieję, że pamięta, że jesteśmy umówieni na nagrywki. (śmiech)

Ale osobą, która też zachowuje się jak ziomek, gdy zawsze się widzimy, jest Paluch. To jest chyba jeszcze większa nobilitacja niż propsy.



Jesteś młodą osobą z podziemia, więc pewnie masz rozeznanie odnośnie lokalnej sceny. Co się u nas aktualnie dzieje? Są składki lub osoby, które poleciłbyś, żeby sprawdzić lub mieć na nie oko?

Poznań jest mega mocny. Jak nie legendy wydające projekty od kilkudziesięciu lat, to małopaci z zajawą na dopchanie się do takich możliwości. Pozdro N2K, AGTROKOMOB, Narkomani, Ananas, Halamson i wiara!

Jaki będzie Twój kolejny krok i plany na przyszłość?

Kolejny krok to zamknięcie trylogii „Romantykiem”. To raczej nie będzie wesoły projekt pełen „lovesongów”, jak Bruno Mars, który wydaje w tym roku płytę pod takim samym tytułem. To będzie raczej hip-hopowe studium wojowania mieczem. Jeszcze chwila i będę gotowy. Zaraz zamknę się w studiu z „Romantykiem”, a następnie zacznę pracować nad pierwszym LP. Nie mogę się doczekać, aż przesunę następne granice w swojej bani.



Dwa równoległe światy Eskaera FRESH ART

Rozmawiał: Dawid Balcerek

Po kilku latach ponownie spotykamy się z poznańskim artystą Eskaerem. Jego twórczość możemy napotkać w Poznaniu na każdym roku – od wlepek i plakatów, przez murale, po obrazy wiszące w galeriach. Jego kolorowa twórczość często nawiązuje do technologii i dzisiejszych czasów. Powód do ponownego spotkania z Eskaerem był poważny, gdyż wielkimi krokami zbliża się jego wystawa „Digital Delusion” w Baraku Kultury, gdzie zaprezentuje nam najnowsze prace z przestrzeni ostatniego roku. Będzie to wizja przygotowana pod to konkretne wydarzenie i przestrzeń. Artysta przygotował malowniczy komentarz rzeczywistości, zwłaszcza tej wirtualnej.

Od samego początku mojej twórczości pracuję zarówno na płótnie, jak i na ścianie, dlatego nie odczuwam tu żadnej zasadniczej zmiany. Jediną różnicą jest to, że dziś częściej pokazuję swoje prace w przestrzeni wystawienniczej. Wystawiam się mniej więcej co dwa lata, natomiast działania streetartowe realizuję na co dzień. Traktuję to jako dwa równoległe światy, które rozwijam jednocześnie. Praca w przestrzeni miejskiej oraz w pracowni wzajemnie się uzupełniają, każdy z tych obszarów daje mi inne możliwości wyrazu, ale oba są dla mnie równie naturalne i ważne.



Od samego początku mojej twórczości pracuję zarówno na płótnie, jak i na ścianie, dlatego nie odczuwam tu żadnej zasadniczej zmiany. Jedyłą różnicą jest to, że dziś częściej pokazuję swoje prace w przestrzeni wystawienniczej. Wystawiam się mniej więcej co dwa lata, natomiast działania streetartowe realizuję na co dzień. Traktuję to jako dwa równoległe światy, które rozwijam jednocześnie. Praca w przestrzeni miejskiej oraz w pracowni wzajemnie się uzupełniają, każdy z tych obszarów daje mi inne możliwości wyrazu, ale oba są dla mnie równie naturalne i ważne.

Często można mieć wrażenie, że moje prace mogą mieć buntowniczy wydźwięk, jednak bardziej chodzi mi o zwrócenie uwagi na temat, niż na jego krytykę. Z jednej strony dostrzegam i krytykuję pewne aspekty współczesności, z drugiej-sam lubię technologię i uważam ją za fascynującą. Nie traktuję tego jako buntu, lecz jako źródło inspiracji. Chciałbym wnieść ten technologiczny klimat do malarstwa, podobnie jak funkcjonuje on w street artcie i pokazać, że nowoczesne malarstwo również może komentować i odzwierciedlać codzienną rzeczywistość jak i tę wirtualną.





Technologia stała się zbyt mocno skomercjalizowana. Mam przez to wrażenie, że użytkownicy świata wirtualnego są manipulowani. Wychowałem się w okresie, gdy technologia była już obecna, ale dopiero zaczynała się dynamicznie rozwijać. Z biegiem lat obserwuję, jak coraz silniej wpływa ona na społeczeństwo oraz na to, w jaki sposób funkcjonujemy i komunikujemy się ze sobą. Każda kolejna innowacja inaczej kształtuje nasze życie, relacje i codzienne nawyki. To właśnie ta nieustanna transformacja sprawia, że postęp technologiczny pozostaje dla mnie stałym i niewyczerpanym źródłem inspiracji do tworzenia kolejnych prac.



Technologia jest dla mnie przede wszystkim narzędziem i źródłem ogromnych możliwości; ułatwia życie, wspiera twórczość i pozwala rozwijać się w różnych dziedzinach. Jednocześnie ma też swoją ciemną stronę: może nas przytłaczać, wpływać na nasze życie w sposób, który zaczyna graniczyć z kontrolą. Dla społeczeństwa i dla artystów nie nazwałbym tego stricte zagrożeniem, raczej wyzwaniem lub zmianą, która coraz bardziej oddziałuje na nasze codzienne nawyki i decyzje.



Granica między udogodnieniem a ograniczeniem staje się coraz trudniejsza do uchwycenia. Świat wirtualny staje się coraz bardziej skomercjalizowany i często pobiera nasze dane osobowe, co wkracza w sferę prywatności. Jako artysta czerpię korzyści z narzędzi cyfrowych, Photoshopa, skanera, tabletu, traktując je jako wsparcie dla mojej pracy, a nie formę rozrywki. Dla mnie prawdziwą formą relaksu jest kontakt z naturą lub praca nad rękodziełem. Wtedy technologia służy jako narzędzie, a nie forma ucieczki i staje się udogodnieniem, a nie ograniczeniem.

Wystawa „Digital Delusion” odbędzie się w Baraku Kultury przy Al. Marcinkowskiego 21 w Poznaniu i potrwa od 21 lutego do 15 marca.

220



Mecenas: **MEDICINE**

Patronat: **POZnań***

Wykonawca: **ARTYSTYCZNE MURALE**

Sztuką o ścianę

Artystyczne Murale

Tekst: Kacper Jakubiec

Zdjęcia: @johny.jan

W ich portfolio znajdują się współprace z takimi markami jak Disney, Netflix, Gucci, Bottega Veneta, New Balance, Fanta, Levi's, Converse i wiele innych. Kamil Dadon, Karol Dadon oraz Jan Jakubowski tworzą grupę Artystyczne Murale, zajmującą się wielkoformatowymi (i nie tylko) malowidłami w przestrzeni miejskiej. Stoją także za organizacją Festiwalu Murali – nowego wydarzenia na artystycznej mapie Poznania.

„Dzień dobry w Poznaniu!”

Truizm: murale stają się coraz bardziej popularne. Gdy unosimy głowę podczas spaceru czy jadąc tramwajem z punktu A do B, nagle wyłaniają się przed nami. Tam, gdzie wcześniej była pusta lub niszczejąca ściana, dziś coś do nas przemawia. W miastach powstają ścieżki śladami murali, wykorzystuje się je jako formę upamiętnienia ludzi i wydarzeń, a osiedla oraz deweloperzy coraz częściej sami zatrudniają artystów, by ozdobili ich budynki. Mural we współczesnym mieście stał się elementem niemal obligatoryjnym, a jednocześnie lokalnym wydarzeniem, atrakcją turystyczną i zjawiskiem kulturowym. I choć jego historia jest długa – sięgająca pierwszych malowideł naskalnych – dziś przeżywa on wyraźny renesans, wraz z którym pojawiają się znaczący artyści.

Poznań również intensywnie rozwija się w tej materii. Na ścianach osiedli, kamienic i nowych inwestycji pojawiają się kolejne realizacje malarskie – nowoczesne, profesjonal-

ne i przede wszystkim reprezentujące wysoki poziom artystyczny. W 2019 roku ukazała się ostatnia, jak dotąd trzecia, edycja mapy murali, graffiti, neonów i typografii Poznania, będącej prywatnym projektem Tomasza Bambrycha, udostępnianym na stronie *Z bliska/Z daleka*. Wyszczególniono na niej 68 punktów z muralami i graffiti, tworzących alternatywną trasę zwiedzania miasta. Choć jest to nieoceniona pomoc dla poszukiwaczy murali, od tamtej pory liczba nowych realizacji w przestrzeni miejskiej znacząco wzrosła. Na mapie nie znajdziemy dzieł powstałych w ramach pierwszej edycji Festiwalu Murali – malowideł przy ulicy Kantaka 8, Krzywej 4 oraz przy ulicy Arcybiskupa Walentego Dymka 220 i 222. Owszem, realizacje te doczekały się opisów w mediach lokalnych i artystycznych, jednak nie każdy mural ma tyle szczęścia. I tak jak każda nowa wystawa czy galeria ogłasza się „wszemu wobec”, tak w przypadku sztuki w przestrzeni miejskiej odnalezienie nowych realizacji wymaga uważności, a często także głębszego researchu.



Współczesna ikonografia miasta

Czy mural to nowa moda? Must-have współczesnego miasta?

Murale istnieją w miastach od setek lat – dawniej jako forma reklamy, dziś często jako sposób na zakrycie nieestetycznych elewacji. Wierzymy jednak, że ich przyszłość leży przede wszystkim w jakościowych realizacjach artystycznych. Polskie miasta i ich architektura sprzyjają muralom, ale jednocześnie

wymagają ogromnej uważności. Każde miejsce ma swoją historię, kontekst społeczny i wizualny. Mural nie może być obrazem wyrwanym z przestrzeni – musi z nią dialogować. A ścian, które mogą stać się wartościowym płótnem, mamy naprawdę wiele.

Co murale robią przestrzeni miasta? A może raczej: co przestrzeni miasta robią murale?

Nadają jej charakter i emocjonalny wymiar. Uczłowieczają przestrzeń, budują relację pomiędzy architekturą a odbiorcą. Można to porównać do wnętrza domu – obrazy, zdjęcia i pamiątki nadają mu osobisty ton. Dobre murale działają podobnie: zdobią miasto, opowiadają historie i budują więź z lokalną społecznością.

Wasze portfolio jest obszerne, różnorodne i naprawdę imponujące. Co Wam przyświeca, kiedy tworzycie sztukę na kolejnej ścianie?

Kluczowe jest dla nas umiejętne odczytanie charakteru miejsca i jego kontekstu, połączone z wewnętrzną potrzebą artystycznego wyrazu. Staramy się, by mural był naturalną konsekwencją przestrzeni, a nie narzuconym elementem. Zależy nam, aby ludzie czuli silniejszą więź ze swoim otoczeniem – by murale wywoływały emocje i budowały relację z miejscem. To również sposób na wyrażenie siebie i próba uchwycenia tego, co w danym momencie najważniejsze.

Czego artyści tacy jak Wy szukają w przestrzeni miejskiej – oprócz, oczywiście, czystej ściany?

Przede wszystkim kontekstu. Bez niego nie ma sztuki. Interesuje nas historia miejsca, jego rytm, ludzie, którzy tam żyją, oraz potencjał, jaki już w tej przestrzeni istnieje.

A jak reagują przechodnie? W końcu jesteście artystami, którym patrzy się na ręce – Waszą pracownią jest miasto.

Reakcje są bardzo różne – od radości, rozmów i przynoszenia herbaty, po złość czy niezrozumienie. I właśnie o to chodzi. Murale nie mają sensu w oderwaniu od ludzi.



Często rozmowy z mieszkańcami realnie wpływają na finalny efekt. Zdarza się, że delikatnie modyfikujemy mural, by jeszcze lepiej wpisał się w lokalną społeczność – jak choćby na Dymka, gdzie po rozmowach z sąsiadkami dodaliśmy psa, który stał się dla nich ważnym punktem odniesienia.

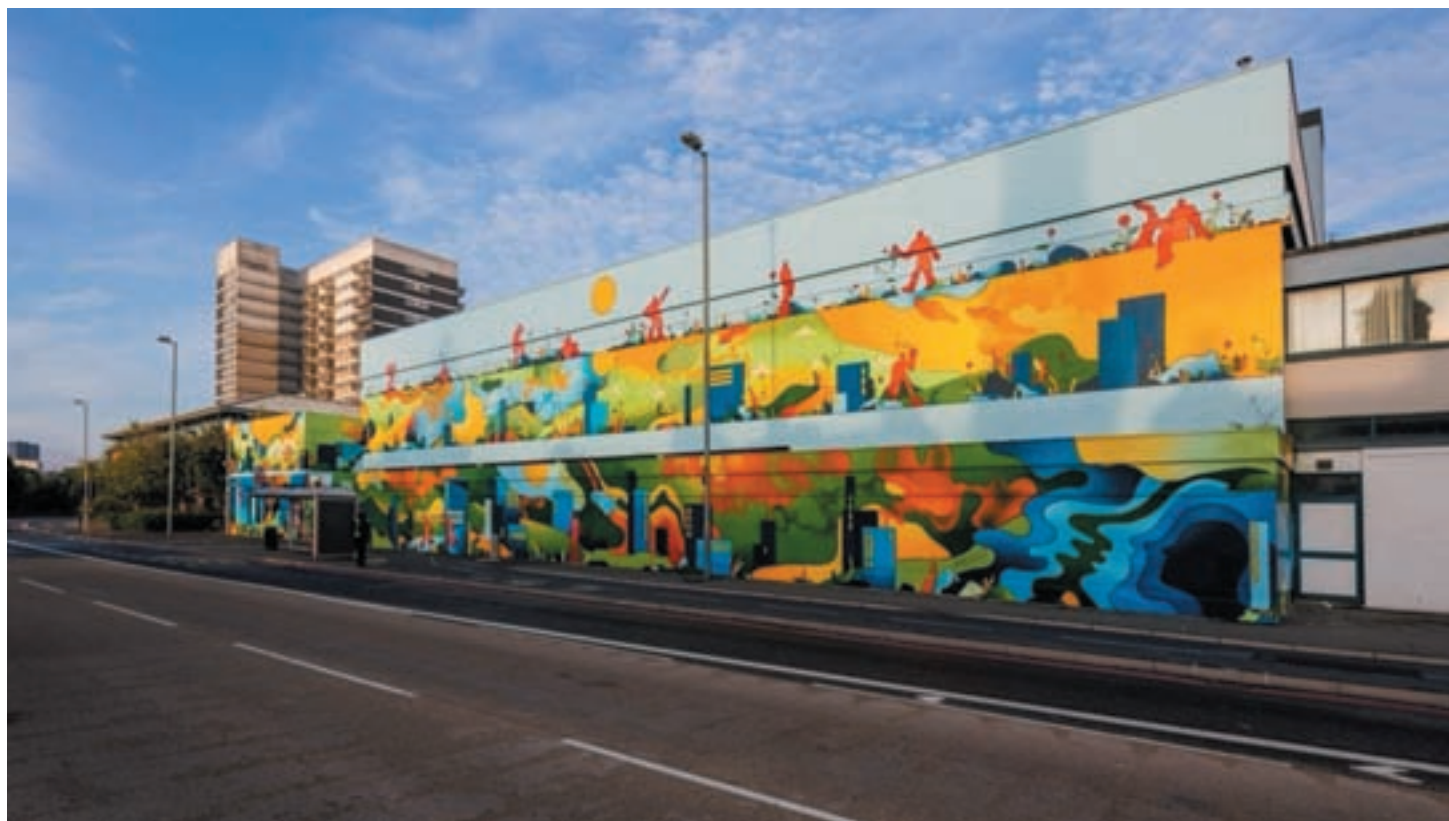
Kiedy malujemy w centrach dużych europejskich miast, bywa, że trudno skupić się na samej pracy – co chwilę ktoś podchodzi z pochwałą czy krótkim komentarzem. Z kolei w bardziej ustronnych lokalizacjach lub podczas festiwali murali w Polsce jest więcej przestrzeni na rozmowę i prawdziwe spotkanie. Ludzie mają czas, by się zatrzymać, przyjrzeć muralowi, przeżyć go i podzielić się emocjami. Dzięki temu widzimy pełną paletę reakcji i jeszcze lepiej rozumiemy, dla kogo i po co tworzymy.

Zanim zaistnieliście w Poznaniu jako Artystyczne Murale, przez kilka lat tworzyliście w Anglii. Jakie dostrzegacie największe różnice w podejściu tam i tutaj?

Anglia jest kolebką murali – to element codzienności, naturalna część krajobrazu miejskiego. Ludzie z całego świata przyjeżdżają tam, by podążać szlakami murali.

W Polsce rynek jest już rozwinięty, ale wciąż nieprzesycony. Murale nadal bywają odbierane jako wydarzenie, coś wyjątkowego – i to daje ogromny potencjał.

Przez kilkanaście lat tworzyliśmy murale komercyjne dla największych marek w Europie, głównie w Londynie. Dziś wróciliśmy do Polski, chcąc wykorzystać to doświadczenie w innej, bardziej artystycznej formie – takiej, która realnie wzbogaca przestrzeń miejską i wpisuje się w jej kontekst.

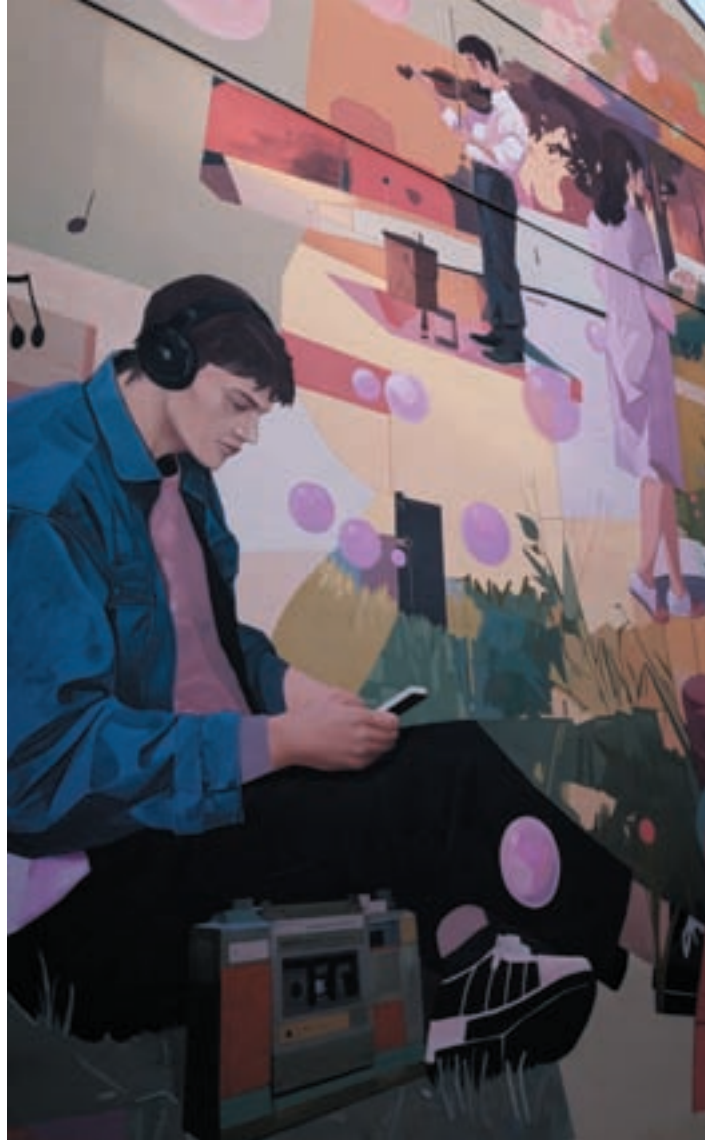


A jak z Waszej perspektywy zmienił się świat murali w Polsce? Coraz częściej widzi się odejście od narracji „aktu wandalizmu” na rzecz „sztuki”.

Problemem jest duża nierówność jakości. Legalność muralu nie oznacza automatycznie jego wartości artystycznej. Świeżość tematu powoduje przesytność realizacji o bardzo różnym poziomie. Stoimy dziś na rozdrożu – mamy szansę wyróżnić się na świecie, bo w Polsce działa wielu świetnych artystów i projektantów. Kluczowe jest jednak podejmowanie odpowiedzialnych decyzji, bo murale zostają w przestrzeni na lata.

Co w tworzeniu murali jest największym wyzwaniem – czymś, czego postronny widz nie jest w stanie dostrzec? Logistyka takich realizacji potrafi przyprawić o ból głowy.

Wyzwań jest tak wiele, że trudno wskazać jedno najważniejsze. Pogoda, logistyka, przygotowanie ściany, dobór kolorów, technologia, słabe żarty i próby freestylowania jednego ze współników, a nawet kwestia zaparkowania podnośnika – każda realizacja to zupełnie nowy zestaw problemów. Każde miejsce rządzi się własnymi prawami i za każdym razem wymaga indywidualnego podejścia.



Widzowie oglądają gotowe dzieło, ale to jedynie wierzchołek góry lodowej. Ile przygotowań musi poprzedzić faktyczne malowanie? Ile czasu zajmuje stworzenie muralu – od koncepcji po ostatnie pociągnięcie pędzla?

Wszystko zależy od skali i charakteru projektu. Czasami koncepcja i design są dopracowywane z klientem przez wiele tygodni, a nawet miesięcy, zanim dojdzie do realizacji.

Od momentu rozpoczęcia przygotowań w pracowni do zakończenia malowania na ścianie mija zazwyczaj około dwóch tygodni. To intensywny proces, łączący pracę koncepcyjną, projektową i fizyczną realizację w przestrzeni miasta.



Interesuje mnie relacja mural–reklama. Czy taka symbioza ma rację bytu? Wydaje się, że bliżej jej do Warhola niż – powiedzmy – Vermeera. Czy z pustą ścianą rzeczywiście wiąże się duża odpowiedzialność?

Taka symbioza jak najbardziej ma rację bytu, pod warunkiem że marka rozumie wartość sztuki. Niestety wiele kampanii muralowych cierpi na niski poziom artystyczny. Na szczęście są wyjątki – marki takie jak Medicine czy AAHERKULES, które wspierają mural jako formę sztuki, a nie nachalny nośnik reklamowy.

To podejście jest nam bardzo bliskie. Chcemy dawać markom możliwość współtworzenia wartościowych realizacji i zmieniać sposób myślenia o muralu – z reklamy na pełnoprawne dzieło sztuki obecne w przestrzeni miejskiej.

Jesteście twórcami i organizatorami Festiwalu Murali w Poznaniu. Z jakiej potrzeby on wyrósł? Jaki cel sobie stawia?

Festiwal jest narzędziem do łączenia artystów, miasta, mieszkańców, instytucji i partnerów wokół jednego celu: tworzenia przemyślanych, wartościowych realizacji. Zależy nam, aby polskie mury stały się miejscem dla sztuki najwyższej jakości – takiej, która realnie wzbogaca przestrzeń i zostaje w niej na lata.

Jesteście już po pierwszej, jeszcze tegorocznej, edycji. Jak dziś na nią patrzycie?

Jesteśmy pozytywnie zaskoczeni skalą zaangażowania i otwartości – zarówno ze strony miasta, partnerów, jak i miesz-



kańców. To ogromna radość widzieć, jak wiele osób chce współtworzyć coś wartościowego. Daje nam to nadzieję i motywację do dalszych działań.

Czego możemy spodziewać się po kolejnej edycji? Czy festiwal „rozleje się” na inne miasta w Polsce? Czy pojawią się międzynarodowe współprace?

Plany są ambitne, ale wolimy mówić o nich w odpowiednim momencie. Jedno jest pewne – potencjał festiwalu jest znacznie większy niż jedna edycja i jedno miasto.

Na koniec zapytam przewrotnie: czy street art nie traci na „wyjściu z cienia”? Kiedyś był znakiem buntu i oporu, dziś bywa reklamą, legalnym procederem wymagającym zgód, atrakcją czy narzędziem promocji.

To bardzo ważne pytanie. Przede wszystkim trzeba rozróżnić murale i street art. Murale istniały na długo przed street artem i graffiti. Nasza twórczość nawiązuje do tradycji malarstwa ściennego – wielkoformatowych obrazów – a nie do narracji buntu. Granice pojęć są dziś rozmyte i często zależą od subiektywnej interpretacji. My jednak postrzegamy siebie jako twórców murali, a nie street artu. Tworzymy obrazy dla miasta, a nie gest sprzeciwu wobec niego.





Klatki schodowe warte Poznania

Zbigniew Zachariasik w opowieści o mieście,
jego historii i ludziach

Rozmawiała: Zofia Myślicka

Zdjęcia: Małgorzata Maćkowiak-Bartczak



Klatki schodowe to przestrzenie, które zwykle traktujemy jako tło codzienności. Przecho-
dzimy przez nie w pośpiechu, czasami rzadko
podnosząc wzrok znad telefonu. Dla Zbyszka
są one jednak czymś znacznie więcej – opo-
wieścią o mieście, jego historii i ludziach, któ-
rzy je współtworzyli. Od dawna dokumentuje
wnętrza poznańskich kamienic na swoim pro-
filu Klatki schodowe warte Poznania, zwraca-
jąc uwagę na miejsca pozornie zwyczajne. Nie-
dawno wydał także książkę poświęconą temu
tematowi. Rozmawiamy o początkach klatko-
wej pasji, autentyczności nadgryzionej czasem
architektury i czytaniu miasta z jego wnętrza.

Klatki schodowe to miejsca, które ludzie zwykle mijają bez
refleksji. Kiedy Ty po raz pierwszy zatrzymałeś się w jednej
z nich i dzięki temu zacząłeś swoją przygodę?

Klatkowa pasja rozwijała się stopniowo i zaczęła kilkana-
ście lat temu. Po raz pierwszy zajrzałem do klatki schodowej
przy ulicy Matejki i doznałem szoku. Pochodzę z małej wsi,
gdzie pojęcie klatki schodowej ma zupełnie inny wymiar. Prze-
kraczając próg wielkomiejskiej kamienicy, której wnętrze było
niewspółmiernie monumentalne wobec bryły budynku, poczu-
łem się malutki i oniemiały tym, co może kryć się za kamie-
nicznymi drzwiami. Od tego rozpoczęło się eksplorowanie ka-
mienicznych wnętrza. Dziś nie jestem już w stanie określić ilości
odwiedzonych kamienic.



Twoje zdjęcia często pokazują ślady czasu – odpadające tynki, wytarte poręcze, stare kafle. Gdzie dla Ciebie kończy się ta estetyczna „niedoskonałość”, a zaczyna prawdziwa autentyczność tych miejsc?

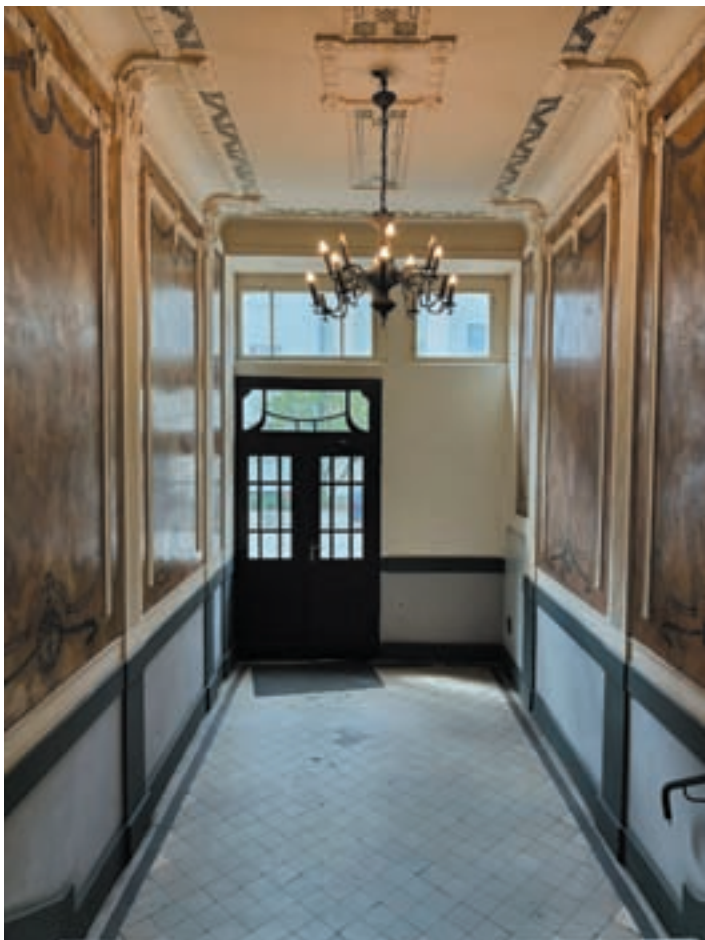
Kamienice i ich wnętrza są odzwierciedleniem estetyki swoich twórców. Stworzone są często indywidualnie, bez katalogowego podejścia do projektu. Ich starzenie odsłania niekiedy urok i klimat, którego wcześniej nie byliśmy w stanie dostrzec. Przestrzenie nienaruszone ingerencją lat późniejszych wykazują odporność na czynniki, z którymi nie radzą sobie budynki, które zostały stworzone później. Często przypadkiem są widoki odchodzących farb, wielu warstw, które pod wpływem

temperatury i wilgoci kruszą się i odpadają. I jaki odsłaniają widok? Często bardzo dobrze zachowanych polichromii i malatury, które oryginalnie pokrywały ściany i sufity, a później postanowiono je zakryć. To one pokazują pierwotną autentyczność i charakter miejsca. Na szczęście w Poznaniu wiele kamienic odzyskuje swój blask w sposób godny zauważenia.

Klatki schodowe to przestrzeń ludzi, którzy tam żyją. Jak reagują mieszkańcy, gdy odkrywają, że dokumentujesz ich otoczenie? Może masz jakieś historie z tym związane?

Podczas spacerów po kamienicach odbyłem sporo rozmów z mieszkańcami. W Poznaniu nie zdarzyło mi się, bym został potraktowany nieprzyjemnie czy wulgarnie. Możliwe, że miałem sporo szczęścia. (śmiech) Najczęściej słyszałem pytanie: „A co tu jest do zobaczenia?”, a dziś już wiemy, że bardzo dużo! Jedną z przyjemniejszych i bardziej zaskakujących sytuacji, było zaproszenie do mieszkania w kamienicy z początku XX wieku przy ulicy Dąbrowskiego. Zachowały się tam oryginalne sztukaterie, stolarka drzwiowa, a największym zaskoczeniem były płytki w kuchni i piec. Wszystko to w doskonałym stanie. Każda z takich sytuacji daje mi ogromną wiarę w ludzi, dla których nieocenioną wartością jest zachowanie stanu kamienic tak, jak dawniej.





Czy uważasz, że miasto da się poznać lepiej z klatek schodowych czy jego ulic?

Przestrzenie miejskie są niesłychanie ciekawe, a najwspanialsze jest to, że każdy może odkrywać je na swój sposób. Odwiedzając inne miasta, również zaglądałam do kamienic, by spojrzeć na miejsce z innej perspektywy. W wielu z nich doszukać się można schematu, który rozlewał się na dane zabory. W Poznaniu wyraźnie widać wpływ niemieckich architektów, którzy brali udział w budowaniu takich dzielnic jak Łazarz, Wilda czy Jeżyce. Każda z tych dzielnic ma inny klimat, jednak najbardziej wyróżnia się Łazarz, a szczególnie okolice Palmiarni. Widać to przede wszystkim po niespotykanych w innych częściach miasta klatkach schodowych i ich rozmachu. Spacerując po okoli-

cach Parku Wilsona możemy poczuć się jak w berlińskiej dzielnicy Wilmersdorf, a zaglądając na ulice Jeżyc poczujemy klimat boomu secesji początku XX wieku, ale to jednak Wilda pozostaje najbardziej spójnie kamieniczną dzielnicą, z której nie wyczytamy jej przemysłowego charakteru. Kamienice są tu monumentalne i strojne. Chcąc odczytać miasto najlepiej zanurzyć się w historię miejsca, a temu zawsze chętnie pomogą miejscy przewodnicy, do grona których sam zresztą należę.

Gdzie według Ciebie leży granica między rewitalizacją a utratą charakteru przestrzeni?

Niestety remonty obiektów historycznych są źródłem wielu dylematów i problemów. Epoka PRL-u była czasem wielu zaniedbań w przestrzeni kamienic. Wiele z nich wyburzono ze względu na stan, bądź planowane inwestycje, a wiele z tych strat jest dziś nieodwracalnych. Skuwano wówczas z fasad sztukaterie, kamienice traciły balkony, zdobne szczyty i wieże. Jeśli jednak dysponujemy dokumentacją, fotografiami czy projektami, możliwe jest przywrócenie dawnych detali. Takich realizacji jest jednak wciąż niewiele. Chociaż Poznań na tle innych miast ma największą liczbę remontowanych kamienic, w których przywraca się wszelkie zdobienia, malatury etc. Możemy jednak doznać niekiedy zaskoczenia, gdy oryginalne płytki posadzkowe, bądź ściennie zastąpione zostają płytami chodnikowymi, a drewniane drzwi plastikowym zamiennikiem. W takich momentach przestrzeń traci swój charakter na zawsze.

Odwiedzając różne klatki, odwiedzasz też dzielnice w Poznaniu, czy widzisz w nich różnice, nie tylko estetyczną, ale też związaną z mentalnością ludzi?

Nie zauważyłem wyraźnych różnic mentalnych pomiędzy dzielnicami. W postrzeganiu ogólnym wciąż mówi się o specyfice takich miejsc jak Wilda, dolna część Łazarza czy Jeżyce. Usłyszeć możemy o tym jak niebezpiecznie tam bywało, o rzemieślnikach tam przebywających. Wiele w tej sferze się zmieniło. Jeżyce stały się enklawą gastronomii, Łazarz jest miejscem spokojnym i klimatycznym, a Wilda, tam podobno już nie mieszka diabeł. Chyba, że na Kilińskiego. (śmiech)



Czy Twój profil *Klatki schodowe warte Poznania* to bardziej archiwum, manifest czy osobisty dziennik?

Tworząc stronę *Klatki schodowe warte Poznania* moim planem było przede wszystkim archiwizowanie. Dawniej nie prowadzono takiej komórki w administracji obiektów jak archiwizacja wnętrz. Z czasem okazało się, że nie wiemy jak wyglądały wnętrza kamienic. Przy próbie odnowienia malatur bazowano na szczątkowych pozostałościach. Nie zdajemy sobie z tego często sprawy. Jednak dziś, gdy fotografujemy, upubliczniamy je na swoich mediach, dokonujemy mimowolnej archiwizacji obiektów i miejsc. A kto wie, może to kiedyś przysłuży się do uratowania jakiegoś kamienicznego detalu.

Czy Twoje podejście do tego co robisz zmieniło się na przestrzeni lat?

Na przestrzeni lat z pewnością poszerzyłem swoją wiedzę na temat ogólnej tematyki miast, historii, kamienic i tego co się w nich znajduje, oraz co na nich zobaczymy. Jednak schemat zostaje podobny. Poczynilem również kolejny krok idąc na kurs przewodnika miejskiego, tak by o mieście i jego unikalności opowiadać szerzej, nie tylko za sprawą mediów społecznościowych.

W którym momencie pojawiła się u Ciebie myśl, że z tego musi powstać książka?

Myśl pojawiła się dość szybko. Po założeniu strony o klatkach na początku 2021 roku, wysłałem zapytanie do 17 wydawnictw w całej Polsce z chęcią współpracy, z pomysłem, ciekawym i niecodziennym tematem. Negatywnie odpowiedziały może 4, a jedno zaprosiło na rozmowę. Współpraca z Wydawnictwem Miejskim Poznania zawiązała się dość szybko. Pani dyrektor wydawnictwa bardzo chętnie wzięła na tapet temat klatek schodowych, co jak się okazało w dalszym działaniu, było strzałem w dziesiątkę. Dziś album nie jest już dostępny w sprzedaży, jednak wciąż jestem o niego pytany – odsyłam wówczas na swoją stronę o klatkach, choć wiadomym jest, że wartość książki nie może być niczym zastąpiona.

Jak dokonałeś wyboru klatek schodowych do książki? Miałeś mnóstwo materiału, więc jak udało Ci się wybrać akurat te konkretne? Czym się kierowałeś?

Odpowiedź jest banalna – otrzymanymi pozwoleniami od zarządców, bądź właścicieli budynków. Bez tego lista kamienic była o wiele dłuższa. Do publikacji konieczne były pozwolenia potwierdzające możliwość upublicznienia wnętrza kamienic i mimo, że lista była dłuższa, udało się zebrać całkiem dużą liczbę pozwoleń. Materiału już wówczas uzbierało się sporo i nie było łatwo dokonać selekcji i odrzucić niektóre adresy z atrakcyjnymi klatkami schodowymi, do których właściciele nie udało mi się dotrzeć. Kto wie, może następnym razem się uda.



Czy książka zamknęła jakiś etap w Twoim profilu, czy to dopiero początek kolejnej drogi?

Z: Książka była etapem w życiu. Dzięki niej miałem większą możliwość, by przedstawiać wartość kamienicznych wnętrz jako niedocenione dobro. Poczułem, że mogę manifestować to z większą odwagą, mając dowód w postaci książki. Warto dodać, że jest to pierwszy w Polsce album książkowy poświęcony wyłącznie klatkom schodowym.

Gdybyś miał wskazać jedną klatkę schodową, która najlepiej oddaje ducha miasta, jaka by to była i dlaczego? Możesz też zdradzić, która jest Twoją ulubioną.

Najtrudniejsze klatkowe pytanie na świecie! Cenię klatkowe piękności, jak np. te przy ulicy Matejki, Działyńskich. Uwielbiam klatki wypełnione detalami, płytkami, witrażami. Przepadam za polichromiami i malaturą odsłanianą spod warstw

farb. Czuję niesamowity klimat na klatkach, o których zapomniał na chwilę świat, gdzie brakują światła i zakręcone schody wyłaniają się z mroku. Może dałbym radę podać dziesiątkę ulubionych, jednej nie jestem w stanie.

Czy *Klatki schodowe warte Poznania* są dla Ciebie próbą ocalenia tego, co odchodzi, czy raczej uważnym przyglądaniem się temu, co nadal trwa?

Wydawać by się mogło, że wszystko to, co odchodzi, daje miejsce czemuś nowemu. To jednak nie sprawdza się w przypadku architektury, a dokładniej mówiąc obszarowi, który w jakiś sposób stał się szczególnie bliski sercu. Każde kolejno następujące okresy w architekturze, w naszym kraju, nie dały takiego bogatego wachlarza kamienicznych możliwości jak te z drugiej połowy XIX i początku XX wieku. Mamy to szczęście żyć w czasach, gdy dostrzegamy piękno kunsztu architektury zachowanej w sposób oddający plany twórców. Dostrzeganie jej daje możliwości chronienia dziedzictwa przekazanego nam w spadku. Spoglądając jednak na współczesne realizacje porównawczym okiem możemy zadawać sobie pytanie, w którym momencie poszło coś nie tak.





Najlepsze kino w Polsce

O miłości do filmów i widzów

Rozmawiała: **Julia Lipowicz**

Zdjęcie: **Maciej Zakrzewski**

Czy sale kinowe umierają? Co można zrobić, żeby przyciągnąć do nich widzów kochających filmy? Jakie festiwale filmowe stały się wizytówką Poznania? O swojej recepcie na kino, które „wie, co gra”, opowiadają Dorota Reksińska, kierowniczką i główna programerka Kina Muza oraz Karolina Kulig, rzeczniczka prasowa British Film Festival i specjalistka ds. komunikacji. Przedstawicielki *Najlepszego Kina w Polsce 2025* podsumowują mijający rok, a także zwierają się, jakie mają najukochańsze obrazy filmowe i jakie będą wyniki filmowych Oscarów 2026.

Na początek chciałabym pogratulować tytułu *Najlepszego Kina w Polsce*.

Dorota: Dziękujemy bardzo.

To zobowiązujący tytuł, ale też skłaniający do refleksji. Z tego powodu chciałabym zadać poważne, ale też fundamentalne pytanie – jaki jest aktualnie stan kina w Polsce i na świecie? Czy przeżywa ono jeszcze kryzys, tak jak się mówiło kilka lat temu, czy już renesans?

Dorota: To trudne pytanie. Nie powiedziałabym, że kina są obecnie w stanie kryzysu. Natomiast rzeczywiście rynek filmowy jest czymś, co stale podlega modyfikacjom. Ciągłe zmieniają się też potrzeby publiczności – to, co ludzie chcą oglądać i jak chcą partycypować w kulturze. Dziś wiemy, że platformy streamingowe nie są konkurencją dla kin, bo nie zastąpią tego, co oferuje kino, czyli możliwości wyjścia z domu, kolektywnego doświadczenia czegoś, co dzieje się w wręcz magicznych okolicznościach – w ciemnej sali kinowej – oraz pewnej ulotności tego doświadczenia i przeżywania go wspólnie z innymi ludźmi, a nie w samotności.

Na pewno taką dużą zmianą, którą obserwuję przez kilkanaście lat pracy w kinie, jest to, że na duży ekran wraca klasyka. Świetnym pomysłem jest jej odświeżanie, szczególnie przed młodą publicznością. To młodzi głównie uczestniczą w tych seansach i rzeczywiście jest to pewien trend w Polsce i na całym świecie. Do klasyki powracają największe festiwale filmowe, jak

Cannes, Berlinale czy Wenecja, i przełożyło się to na to, co grają kina, a także na to, co wznawiają dystrybutorzy w swojej ofercie.

Wspomniałam o pewnej ulotności doświadczeń i myślę, że to jest też szczególnie ważne z perspektywy roli kin studyjnych. Naszą rolą, misją i pracą jest nie tylko pokazywanie filmów, ale też zapraszanie do dyskusji, odpowiadanie na to, co dzieje się współcześnie na świecie, dawanie przestrzeni, w której ludzie chcą uczestniczyć.

Nie chcę chyba używać słowa „renesans” w odniesieniu do kin, ale one naprawdę nie są w złej formie. Wystarczy po prostu wyjść poza standardowe ramy myślenia o kinie jako tylko o miejscu, które jedynie przedziera bilety i wyświetla film. Tworzymy szerszy kontekst i powód, dla którego warto przyjść do kina.

Karolina: Oprócz wrażeń są też liczby, które potwierdzają to, co mówi Dorota. Na przykład w momencie naszej rozmowy „Dom Dobry” osiągnął 2 miliony widzów i zapewne osiągnie 3,5 miliona widzów w styczniu. W Muzie precyzyjnie analizujemy dane z ostatnich dziesięciu lat i wiemy, że co roku przyciągamy coraz więcej widzów. Każda wizyta w kinie ma wartość edukacyjną i każda ostatecznie wpływa na widza – być może otwiera jego horyzonty.

W roku 2025 frekwencja w Kinie Muza ponownie przekroczyła 160 000 widzów i widzek. Na przykładzie naszego kina można mówić o tym, że publiczność ma wielką potrzebę



partycypowania – czujemy ten feedback w zwykłych ludzkich rozmowach, na które całe szczęście mamy przestrzeń w kinie i w jego mediach społecznościowych.

Pytanie, za co ludzie kochają Kino Muza, jest zbędne, bo tych powodów jest mnóstwo. Kim, jednak jest widz Muzy aktualnie? Kto najczęściej przychodzi do Waszych sal?

Dorota: Ostatnie badania publiczności robiliśmy w 2024 roku i wtedy okazało się, że Kino Muza jest w większości kobietą. Trudno byłoby jednak sprowadzić to tylko do tej odpowiedzi, bo grupy, które do nas przychodzą, są bardzo zróżnicowane. Mamy dorosłych i młodych dorosłych nie tylko płci żeńskiej – to osoby, które interesują się kinem, chcą być zaangażowane i na bieżąco oglądać nasz repertuar. Muza w swoich progach gości też bardzo dużo seniorów, dla których mamy dedykowany cykl odbywający się co środę.

Frekwencja programu Edukacja Młode Horyzonty, który prowadzimy od wielu lat, pokazuje, że mamy też ogromną publiczność dziecięcą, która chce być częścią Muzy i uczestniczyć czy w porankach rodzinnych, czy w warsztatach. Jest to cała machina edukacyjna, którą tu dla nich prowadzimy. Mało kto wie, ale Muza pracuje prawie całodobowo, bo codziennie w roku szkolnym seanse startują już o 9 rano, a ostatni seans kończy się prawie o północy. Wśród widzów mamy wszystkie

grupy nauczania – od przedszkolaków po ostatnie klasy licealne, a na DKF-ach (Dyskusyjny Klub Filmowy KAMERA) widzimy studentów. W dużej mierze są to mieszkanki i mieszkańcy Poznania i okolic, ale nie tylko. Zdarza się, że przyjeżdżają do nas ludzie z innych części Polski, bo po prostu chcą zobaczyć, jak u nas jest.

Czy widać faktycznie więcej młodego pokolenia, które przychodzi z własnej ciekawości i zainteresowania?

Dorota: Na pewno tak – są bardzo widoczni na seansach klasyków. Osobiście bardzo im tego zazdroszczę, bo pamiętam, że kiedy ja miałam lat naście i zależało mi na oglądaniu klasyki, możliwości były ograniczone. Można było co najwyżej liczyć na wypożyczalnię. Jest wiele filmów, które zasługują po prostu na duży ekran i na tę jakość projekcji, jaką dzisiaj możemy zaofertować.

Na DKF-ie, który działa u nas od 50 lat, udowadniamy, że warto rozmawiać o kinie. Istnieje potrzeba, żeby po filmie dzielić się wrażeniami, posłuchać, co myślą inni, opowiedzieć o własnych emocjach – nierzadko te dyskusje trwają nawet półtorej godziny. Każdy z nas filtruje film przez siebie, a dodatkowo możemy w tym odnajdywać wartości terapeutyczne.

W listopadzie odbyła się druga edycja British Film Festivalu. Czy macie już jakieś wnioski lub podsumowanie?

Karolina: Przygotowując się do drugiej edycji BFF, wiedzieliśmy, że będzie większa niż ta z debiutanckiego roku. Podczas pierwszej edycji zagraliśmy około 70 filmów, podczas drugiej – około 100. To samo w sobie pokazuje wzrost rok do roku. Już podczas pierwszej edycji w 2024 roku czuliśmy, że głód brytyjskiego kina jest ogromny i ludzie chcą oglądać filmy z Wysp. Podczas drugiej edycji program został rozbudowany. Mieliśmy też znacznie większe przestrzenie, bo kilkanaście seansów odbyło się w Sali Widowiskowej Kina Apollo, niejednokrotnie wypełnionej w 100%, czyli na 400 osób.

W roku 2025 frekwencja BFF wzrosła o 40% – na festiwalu pojawiło się ponad 7 tysięcy osób. Będziemy starali się tę dobrą falę utrzymać jak najdłużej. Otrzymaliśmy też niesamowicie

cie miły, motywujący do dalszych działań feedback od naszych widzów. Więc tak – British odbędzie się również w 2026 roku. Będzie dłuższy o jeden dzień i to jest zasadnicza zmiana organizacyjna, dająca znacznie większe możliwości. Spotykamy się między 10 a 15 listopada 2026 roku.

Co było największym zaskoczeniem i największym hitem podczas ostatniej edycji?

Dorota: Dostaliśmy zielone światło na to, żeby w Poznaniu podczas British Film Festival przedpremierowo pokazać „Hamneta” Chloé Zhao na dwóch pierwszych pokazach w Polsce. Oba pokazy całkowicie się wyprzedały – film ten w Poznaniu obejrzało ponad 600 osób. Nie tylko sam film wywołuje wzruszenie, ale też to, jak został odebrany – seans się skończył i przez przynajmniej dwie minuty cała 400-osobowa sala siedziała w milczeniu, ciemności i ciszy. Było to bardzo wzruszające, wspólne przeżycie emocji pokazanych na ekranie. Właśnie po to są festiwale filmowe.

Zdecydowanie, tak jak podczas pierwszej edycji, ważna była nasza ukochana sekcja BFF, czyli Outside the Box, z którą wychodzimy w przestrzeń miejską i staramy się umieszczać filmy w niestandardowych kontekstach. Dla mnie osobiście pokaz „Błękitnej Planety II” w studiu TVP 3 Poznań był czymś wręcz magicznym – osiągnęliśmy te piękne okoliczności przy współpracy z TVP 3 Poznań, ale też z największym nadawcą brytyjskim, czyli BBC Studios, które dołączyło do partnerów festiwalu. Pokazywaliśmy też film „28 dni później” w postindustrialnej przestrzeni, która udawała tło postapokaliptyczne filmu. Ponadto odbył się pokaz „Billy’ego Elliota” w Ogólnokształcącej Szkole Baletowej, gdzie młodzież wraz z pedagogami przed seansem zaprezentowała występ baletowy – chwytający za serce.

Ogromną dumą napawa nas też to, że do programu merytorycznego od tego roku dołączył British Film Institute, a Josephine Botting, Curator of Fiction w BFI, była kuratorką sekcji Five O’Clock. Wprowadziła filmy poddawane remasteringowi z ramienia BFI. Przyjemnie jest na festiwalu zobaczyć premiery, ale z drugiej strony dla mnie zawsze najbardziej wzruszające jest to, że ludzie chcą oglądać nieoczywiste kino i klasykę – czę-



fot. Maciej Zakrzewski

sto trudną – jak propozycje w ramach współpracy z BFI. Takim seansem był pokaz filmu „Kes” Kena Loacha, który okazał się absolutnym highlightem. Różnorodność programowa przyciąga tłumy w różnych kontekstach i to jest wielka wartość BFF.

Nie byłobyśmy sobą, gdybyśmy nie wspomniały o najważniejszej gościnie tegorocznej edycji – reżyserce Sally Potter. To była pierwsza retrospektywa jej twórczości w Polsce. Spotkała się z publicznością i została przez nią gorąco przyjęta – to było absolutnie wspaniałe. Po Q&A po pokazie jej filmu „Orlando” prawie nikt nie wyszedł z 400-osobowej sali. Wszyscy chcieli jej słuchać do końca, a na zakończenie cała sala wstała i nagrodziła ją owacją na stojąco. Sama Sally Potter przyznała, że nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś takiego jak u nas w Poznaniu – poczuła się w Muzie jak gwiazda rocka. To niespotykane.

Co przyniesie Muzie kolejny rok? Na co warto czekać w 2026?

Dorota: Na pewno na nasze flagowe wydarzenia – choćby Millennium Docs Against Gravity w maju, w lipcu Festiwal Animator, a w listopadzie wspomniany już British Film Festival. Nie odchodzimy też od mniejszych, równie ambitnych inicjatyw, czyli przeglądów filmu niemieckiego, hiszpańskiego



fot. Piotr Bedliński

czy francuskiego. Wchodzimy teraz w okres przedoscarowy, który jest zawsze filmowo najmocniejszy w roku. Do kwietnia w repertuarze będą ogromne premiery, na które wszyscy czekamy.

W myśl naszego hasła „Wiemy, co gramy” starannie myślimy nad każdym filmem, który pojawia się w naszej selekcji. Wbrew pozorom nie jest to standardowa sytuacja w kinach. Staraliśmy się, żeby filmy w Muzie wyznaczały kierunki artystyczne i filmowe oraz były zgodne z naszymi wartościami. A te są dwie: miłość do filmów i miłość do widzów. Przyszły rok na pewno również będzie o tym.

A oscarowo – na jakie filmy warto czekać, komu będziemy kibicować?

Dorota: Mocno wierzę w filmy, które pokazywaliśmy w ramach tegorocznego BFF, czyli „Hamneta” Chloé Zhao i „Zgiń, kochanie” Lynne Ramsay. Pod koniec grudnia do kin wszedł też „Song Sung Blue” z Kate Hudson w roli głównej, który jest wysoko w oscarowych przewidywaniach.

Karolina: Ja chyba najbardziej czekam na te nieoczekiwane filmy, które często pojawiają się w kinach w ostatnim momencie. Łączę się tu z wieloma widzami Muzy, którzy czekają właśnie na takie perełki. Na pewno pojawi się wiele dobrego. Czekam chociażby na „Kopnęłabym cię, gdybym mogła”, który pojawi się 20 lutego – w rolach głównych Rose Byrne (być może kolejna nominacja do Oscara za rolę pierwszoplanową), a także... A\$AP Rocky.

Dorota: Jest jeszcze jeden film, na który trzeba będzie chwilę poczekać – nowa ekranizacja „Wichrowych wzgórz” w reżyserii Emerald Fennell, której premiera odbędzie się w Walentynki. Cenię tę reżyserkę za nowe podejście do narracji w kinie, a do tego są tam wspaniali aktorzy w głównych rolach. Najbliższe miesiące zdecydowanie będą czasem spełniania kinofilskich marzeń.

Dodam, że sezon oscarowy to jedno, ale my zdecydowanie więcej czerpiemy z festiwali filmowych na całym świecie – Berlinale czy Cannes wytyczają trendy i to tam pojawiają się premierowo filmy, które potem przez cały rok zdobywają nagrody.

„W myśl naszego hasła »Wiemy, co gramy« starannie myślimy nad każdym filmem, który pojawia się w naszej selekcji. Wbrew pozorom nie jest to standardowa sytuacja w kinach»

Ostatnimi czasy sporą popularnością cieszy się platforma Letterboxd, znana z tego, że jej użytkownicy muszą wskazać swoje cztery ulubione filmy wszech czasów. Nie mogę nie zapytać na koniec o Wasze typy.

Karolina: To jest tak trudne pytanie, że zawsze się cieszyłam, że nikt mi go nigdy nie zadał. Na liście na pewno musi znaleźć się „Biała wstążka” Michaela Hanekego – film, który obejrzałam przedpremierowo w 2008 roku na Nowych Horyzontach. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że chcę pracować na festiwalu filmowym – to był mój moment przełomowy. Drugim tytułem jest „Powstanie umarłych: Tajemnica płytek Toynbee” – dokument, który pokazał mi, jak można zrobić kino dokumentalne na lokalny, insiderski temat i stworzyć coś absolutnie wyjątkowego.

Dalej „Drużyna Pierścienia” – pierwsza część najlepszej, moim zdaniem, trylogii filmowej w historii, bo był to pierwszy blockbuster, jaki zobaczyłam w życiu. Czwarty punkt to „Musimy porozmawiać o Kevinie” Lynne Ramsay – nie tylko dlatego, że była naszą gościnią na BFF. Do dziś pamiętam, jak bolał mnie każdy miesiąc od przeżywania tego filmu. Drugi raz zobaczyłam go rok temu i zareagowałam dokładnie tak samo.



fot. Piotr Bedliński

Dorota: Moje myślenie o kinie zrewolucjonizował „Mulholland Drive” Davida Lyncha. Oglądałam ten film sama w nocy na DVD i nie byłam przygotowana na jedną ze scen, którą uważam za najstraszniejszą w historii kina – scenę z bezdomnym zza baru. To paradoksalnie jedyny film, który mnie w życiu przestraszył. Ponadto pokazał mi, że za pomocą środków filmowych można budować emocje i napięcie. Na zawsze pozostanie moim ulubionym filmem Lyncha.

Drugim filmem jest „A Ghost Story” z Rooney Marą i Caseyem Affleckiem – o momencie, w którym jeden z partnerów umiera i powraca jako duch, dosłownie przebrany w prześcieradło. Jest tam scena, w której Rooney Mara je szarlotkę przez prawie 10 minut – to pokaz absolutnej traumy, żałoby i rozbicia. Kino pełne wrażliwości – lubię takie filmy.

Przychodzi mi jeszcze do głowy „Dwunastu gniewnych ludzi” – film, który uzmysłowił mi potęgę kina: że może dziać się w jednym pomieszczeniu, opierać się wyłącznie na świetnym scenariuszu i trzymać w napięciu od pierwszej do ostatniej minuty.

No i „Wielki Błękit” – film o pasji, miłości do wody, ale też o przekraczaniu granic ludzkiej wytrzymałości. To zdecydowanie mój ulubiony film Luca Bessona. Rezonuje z moją miłością do wody i oceanu. Film ten będzie miał wznowienie w kinach właśnie w 2026 roku.

Karolina: Generalnie chyba nie nadajemy się do Letterboxd – tam liczą się szybkie tytuły, bez tłumaczeń i zawiłości.

Ależ to są dokładnie odpowiedzi w stylu Muzy – tym lepiej. Dziękuję za rozmowę!

A woman with short dark hair and bangs is sitting in the driver's seat of a car. She is wearing a red and white dress with a high slit. The car's interior is decorated with Polish flags and a large red cushion featuring the Polish coat of arms and the word 'TYLKO'. The woman is holding the steering wheel, which is also decorated with a Polish flag. The background shows a city street at night.

Polska dziewczyna

Kreacje Mery Spolsky

Rozmawiąta: Karolina Sierszulska

Zdjęcie: Mateusz Golis



Opowiada o sobie, opowiada o Polsce. Nie tylko głosem, ale też strojem. Wracca do spokojniejszej Mery, wiernej minimalizmowi, czerni, bieli i czerwieni. To w tej estetyce odnajduje prawdziwą siebie. Przed Państwem – Mery Spolsky, z którą rozmawiam nie o muzyce, a o wizerunku, inspiracjach i scenicznych odsłonach właśnie.

Dlaczego teraz postawiłaś w swojej twórczości na białą-czerwoną stylistykę?

Jestem bardzo mocno związana z tym, co wizualne. Lubię cieszyć oko ubraniami, architekturą, filmami. Biały, czerwony i czarny to były zawsze moje trzy ulubione kolory. Uważam, że są na świecie ludzie, którzy jak się zakochają w tych kolorach, to tak na amen. Taki był zespół White Stripes czy Grzegorz Ciechowski, którego znakiem rozpoznawczym były paski. Ja też się na tych barwach zafiksowałam i ciężko mi z nich zrezygnować. Oczywiście ulegam modzie, ulegam trendom. Przy poprzedniej płycie zachwyciłam się takim „gothic bdsm”, lateksowo-skórzanym wizerunkiem. Bardzo mi się podobało, że to jest taki



rave'owy klimat, który wyzwala pewną wolność w ciele. Przy okazji jest modowo bardzo ciekawy – można tworzyć gorsety, wręcz lateksowe instalacje na ciele. To była fascynacja, ale też zachłyśnięcie. Teraz czuję, że już się tym pobawiłam i zaczęłam szukać nowych rozwiązań. U mnie to właśnie tak wygląda, że zanim pojawi się coś nowego, następuje powrót do basic'u, czyli ulubionych barw i Polski. Zatęskniłam za tym. To po prostu moje kolory, cały mój dom jest w nich urządzony. Tak już chyba zostanie do końca. Będę ulegać różnym fazom, ale gdzieś w głębi zawsze będę wierna bieli, czerwieni i czerni, minimalistycznej estetyce.

„Będę ulegać różnym fazom, ale gdzieś w głębi zawsze będę wierna bieli, czerwieni i czerni, minimalistycznej estetyce”

Czyli maksymalizm nie jest Ci tak bliski, jak minimalizm?

Z jednej strony uwielbiam przesadę, często powtarzam, że na scenie czy w teledyskach stosuję zasadę „more is more”. Nie widzę nic złego w przerysowanych tekstach, dużych, krzyczących stylizacjach i podejmującej z różnych gatunków muzyki. Lubię ten maksymalizm, ale kiedy już się w nim wyszaleje, to czuję, że potrzebuję wrócić do korzeni. A one to dziewczyna z gitarą, ballada o miłości, od której zaczynałam. Pracując nad płytą *Kocham Polskę*, znowu w głowie wróciłam do tej spokojniejszej Mery. Do Mery, która się zastanawia dlaczego mieszka w Polsce, co oznacza spoglądanie na siebie w szarych kolorach, jak to jest być taką typową Kowalską. Raz skrajnie idę w jedną stronę, queerowy wizerunek i szaleństwo, a kolejnym razem wkrada się nieśmiałość. Lubię ten rollercoaster!

Projektując swoje stroje, czym się kierujesz?

Uwielbiam podglądać i obserwować, co robią m.in. Rosalia oraz FKA Twigs. Na Instagramie obserwuje moje zagraniczne ikony mody i sztuki. Madonna, choć nadal ją uwielbiam, teraz mniej mnie inspiruje. Dua Lipa, jednak bardziej komercyjna, która podczas swojej trasy występuje w przepięknych gorsetach i futrach. Sabrina Carpenter, choć ma inną estetykę niż ja, pozostaje w swoim stylu bardzo konsekwentna i to jest imponujące. Gorsety, w których występuje zawsze są inne, różnią się od siebie, nierzadko nawiązują też do miasta, w którym koncertuje. To też jest dla mnie ważne, aby moje stroje współgrały z koncertem, z tematem. Aktualnie kiedy gramy „Po Polsce Tour”,

nasze outfity nawiązują trochę do footballu i sportowej drużyny. Chłopaki z zespołu mają wypisane na koszulkach swoje ksywy i ulubione numery, jak zawodnicy. Ja mam ortalionowy strój trenerki i trochę prowadzę chłopaków, oni są moją drużyną i bez nich nie byłoby tego meczu. Czuję, że to zajebiście wkręca ludzi w zabawę, bo sami zaczynają przychodzić na koncerty z szalikami. Mają taki styl kibica, ale nie ma to zupełnie nic wspólnego z kibolami, z ustawkami – to jest tylko zapożyczenie z tej estetyki. Te stroje wymyśliłam w głowie, ale nie ja je uszyłam, bo tego nie potrafię. Szła je Ola Kucharczyk, dziewczyna z Polski, która robi wszystko ręcznie sama w domu. Jest genialną artystką i totalnie zasługuje na to, by o niej tutaj wspomnieć.

W jednym z wywiadów wspomniałaś, że nigdy nie zakładasz na scenę dwóch tych samych stylizacji. A czy jest jakaś, do której chętnie byś wróciła i złamała swoją zasadę?

To jest bardzo dobre pytanie! Zasada ta została złamana w momencie, kiedy powstał projekt *Jestem Marysia i chyba się zabiję dzisiaj*. To było kilka lat temu, na jego potrzeby wcielałam się w postać Marysi z książki. To miała być rzecz bardzo powtarzalna. Marysia to była postać w czarnej grzywce, w garniturze szytym specjalnie na miarę przez Olę. Nie wyobrażałam sobie zakładać na każdy live act czegoś innego. Kreacje później się zmieniały, bo były przypisane konkretnemu utworowi i scenerii, ale dopiero potem zrozumiałam, że skoro tyle uwagi przykuwam do każdego z tych strojów, które są szyte ręcznie, to chciałabym, żeby każdy mógł zobaczyć je na żywo. Więc moja zasada się odwróciła w drugą stronę. Mam set wymyślonych i uszytych na potrzeby projektu stylizacji i zawsze gram w nich. To jest dla mnie nowość i cieszę się, że porzuciłam tamtą zasadę. Dzięki temu te outfity wybrzmiewają. Gdy kończymy trasę, to zamykam te stroje w swojej pracowni modowej i stają się one pamiątkami. Lubię potem do nich wracać.

Która z Twoich wizualnych odsłon była Ci dotąd najbliższa? Czy do którejś tęsknisz?

Najmniej tęsknię do czasu *Erotic Era*. Pewnie dlatego, że jest najświeższa i po pół roku zajawki na konkretną stylówkę,



fol. Piotr Porębski

w końcu chcesz coś zmienić. Za to największy sentyment mam do rzeczy z pierwszej płyty, na które też przez pewien czas nie mogłam patrzeć. Miałam poczucie, że mi się to nawet nie podoba. Ale znów to do mnie wróciło, jak w modzie – zatoczyło koło. To są paski, to jest sentyment do prostych rzeczy, czerwona szminka, minimalizm. I jakoś naturalnie z powrotem do tego nawiązuję w swoich outfitach. Tęsknię też za welonem – to była rzecz, która mnie definiowała na samym początku. Ja to nazywam welonem, ale ciężko inaczej określić jego formę. Taki jakby czepek z czarnego tiulu. To był mój znak rozpoznawczy. Teraz nie mogę do niego wrócić, bo jest on już dość zużyty, ale może w przyszłości go odtworzę.

Czy to zawsze jesteś Ty, czy pewna Twoja kreacja? Czy każdy z tych scenicznych look'ów był jakąś częścią Ciebie?

Czuję, że z każdą płytą ten styl się zmienia, nasączony tym, co noszę w życiu codziennym. Przy płycie *Erotic Era* była zajawka na różowy, na co dzień też tak chodziłam. Kupiłam sobie różowe futro i ubierałam go każdego dnia. Z kolei przy *Deka-*



fot. Adam Słaboń

log Spolsky przyszła faza na ortaliony, dresy, wysokie i dziwne koturny. Każdy projekt to jestem ja. Chyba najbardziej odstrzelony projekt, taki w którym najmocniej wcieliłam się w rolę, to był Marysia z live actu *Jestem Marysia i chyba się zabije dzisiaj*. W tej kreacji była obecna peruka, a to już samo nadaje jakąś rolę. To był taki bardzo czarny, przerysowany styl. Bardzo sceniczny projekt, w którym najbardziej czułam, że wchodzę w jakąś rolę.

Jak to o czym śpiewasz przekładasz na strój i swój wizerunek?

Polubiłam występowanie niemalże nago – w bikini, w krótkich spodenkach, bo temat, który gryzł mnie przy poprzedniej płycie, to temat ciała, kompleksów, wolności. Czułam, że ciało, szczególnie w Polsce, jest tematem tabu, najmocniej u kobiet. Rezonowało to z tym, o czym piszę. Teraz, gdy płyta jest po-

„Perfekcjonizm to swego rodzaju więzienie, więc uważam, że dobrze się czasem z niego uwolnić i dać sobie luz”

święcona tematowi Polski, tutejszym, to ta białoczerwona flaga też pojawia się w tych strojach. Mam różne tiulowe dodatki, które imitują tę patetyczność. Zawsze się to jakoś łączy z tym o czym śpiewam. Lubię też to szaleństwo, kiedy mam ochotę coś założyć. Wtedy scena jest idealnym miejscem, by się na to odważyć, bo potem w życiu codziennym jestem Marysią Kowalską i niekoniecznie wyszłabym w koturnach do metra. Byłoby mi niewygodnie albo czułabym się trochę skrzepowana.

A czy było kiedyś tak, że najpierw pojawił się pomysł na kreację wizerunku, który później przyniósł dopiero pomysł na muzykę?

To totalnie wydarzyło się przy płycie *Erotik Era*. Najpierw fascynacja bdsm, ravem, techno, harnessami, berlińskim stylem, a dopiero później poszukiwanie w muzyce. Dlatego, że byłam mocno podjarana kabaretkami, ciężkimi butami, rozmazanymi smokey eye, to sięgnęliśmy po techno. Pamiętam, że to co mnie najbardziej wtedy zainspirowało, to była okładka Madonny *I'll teach you how to fuck*. Zobaczyłam ją dawno temu, będąc małą dziewczynką. Zapadła mi w pamięć jako wyuzdana, ale też interesująca. Madonna siedzi w wulgarnej pozycji, ubrana w czarny gorset, rozkłada nogi, a palce trzyma w ustach. To zostało w mojej głowie. To była też ciekawość, jak ja bym w czymś takim wyglądała, w gorsecie i kabaretkach.

Co Cię inspiruje?

Ostatnio bardzo lubię podglądać ludzi na ulicy. Wydaje mi się, że w Polsce coraz częściej lubimy eksperymentować z modą i próbujemy się wyłamywać. Widząc gotyckie dziewczyny na ulicy, które chodzą w newrock'ach, od razu przypominają mi się albumy zdjęciowe z gothic lolitami, które moja mama przywoziła z Tokio. Fotograf łapał je na ulicy i robił zdjęcia, bo były ciekawie ubrane. Z zafascynowaniem przeglądałam je, kiedy byłam małą dziewczynką. Inspirują mnie też ulice podczas różnych Fashion Week'ów. Poza tym bardzo lubię przeglądać social media i wpadać w wir różnych inspirujących dziwactw. Uwielbiam Tommy'ego Casha, jego wyczesane stylizacje. Jednak ostatnio najmocniej z podziwem spoglądam na Rosalię, ogromnie podoba mi się to, że każda jej płyta równa się oddzielny wizerunek. I na koniec David Bowie, który jest dla mnie ikoną odwagi. Był mężczyzną, który nie bał się malować, zwłaszcza w tamtych czasach. Był mężczyzną, który wcielał się w role i był tym, kim chciał.

A Tobie bliżej jest do stylizacji dopiętych na ostatni guzik, czy raczej z brakującym guzikiem?

Przy trasie *Po Polsce Tour* bliższa jest mi ta druga opcja, z luzem i spontanem. Podczas tej trasy przebieram się dużo razy i nie chcę, żeby wszystko było doskonałe. Jeśli w biegu czegoś nie zdążę założyć, to nic się nie stanie. Przy tej trasie jest tank top, jest bikini, pozwalam sobie na większą swobodę. Ale przy poprzednich projektach, na przykład przy live act'cie, tam wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. Jeśli tak nie było, to miałam poczucie, że to wszystko jest niespójne. Perfekcjonizm to swego rodzaju więzienie, więc uważam, że dobrze się czasem z niego uwolnić i dać sobie luz.

Masz swojego ulubionego projektanta?

Teraz mam obsesję, podkreślam obsesję, na puncie marki Bimba y Lola. Wiem, to nie projektant. Oni wypuszczają przerysowane rzeczy, choć dużo pojawia się u nich kolorów. Czasami marzę, żeby zrobili coś przerysowanego, ale w bardziej stonowanych barwach. Lubię tę markę za to, że jest w ich kolekcjach jakieś szaleństwo.



Marzy Ci się współpraca z jakąś marką odzieżową? Czy byłaby to właśnie Bimba y Lola? Jak ją sobie wyobrażasz?

Bardzo bym chciała! Oni są z Hiszpanii, a ja często inspirowuję się artystami z tego kraju. Salvador Dali, który od dziecka jest dla mnie bardzo ważny. Rosalia, o której już wspominałam. No i jest Bimba y Lola, może kiedyś się uda?

Często koncertujesz w Poznaniu, jak odbierasz to miasto modowo? Czy znajdujesz tu czasem inspiracje?

Mam wrażenie, że Poznań jest bardzo rave'owy. Kojarzy mi się z ludźmi, którzy właśnie mocno ubierają się w stylu *Erotik Era*. Jak graliśmy tam trasę z tą płytą, to czułam, że jestem u siebie. Poznań kojarzy mi się nowocześnie i berlińsko. Bardzo lubię u Was grać, bo mam poczucie, że ludzie w Poznaniu są otwarci na różnorodność i bardziej wyzwoleni, może właśnie przez ten zachodni powiew Berlina. Nie mogę doczekać się każdego kolejnego koncertu, bo ilekroć gramy w Poznaniu, to ludzie zawsze przychodzą i dobrze się bawią. Może wynika to też z obecności wielu festiwali w tym mieście. Ja jestem spokojna o Poznań, ale też zawsze bardzo ciekawa ludzi, którzy przyjdą na mój koncert.



Czuły nos dla Syrii – polska pomoc na dwie ręce i cztery łapy

Wywiad z twórcami i ekspertami

K9 NosePrint Project Syria

Rozmawiała: **Natalia Bednarz**

Syria od lat zмага się z wojną i katastrofami naturalnymi, a trzęsienie ziemi z 2023 roku tylko pogłębiło tragedię. Setki budynków legły w gruzach, tysiące ludzi utknęło pod zawalonymi domami, a katastrofa humanitarna w Syrii i Turcji pochłonęła ponad 50 tysięcy ofiar. W takich chwilach nawet największa odwaga i dobre chęci to czasem za mało. Skąd pomysł na taki projekt? Jak się pracuje w międzynarodowym zespole, z dala od domu, w ekstremalnych warunkach? Co do akcji wnoszą psie nosy? Przeczytajcie.

Na szczęście są ludzie gotowi pomagać – niezależnie od granic. Międzynarodowa solidarność połączyła Syryjską Obronę Cywilną, znaną jako White Helmets, z polskimi ekspertami od psów ratowniczych. *K9 NosePrint Project Syria: Most Solidarności* to jeden z kluczowych projektów ratownictwa w Syrii. Narodził się w głowie... poznańskiej pracowniczki humanitarnej, Pauliny Kuntze, a realizują go doświadczeni ratownicy K9 – Przemek Rembielak i Krystian Faltyn. Cel? Stworzenie i wyszkolenie pierwszej syryjskiej jednostki psów ratowniczych K9 w strukturach Białych Hełmów.

White Helmets są sercem tego projektu. Kim są dla Was – prywatnie i zawodowo?

Paulina: Obserwowałam pracę Białych Hełmów od samego początku, zanim jeszcze usłyszałam o nich cały świat. Ich przesłanie „ratując jedno życie to jak ratowanie całej ludzkości” zostało ze mną na zawsze. Białe Hełmy gołymi rękami ratowały ludzi spod gruzów przez ponad dekadę. To nie była dla mnie tylko organizacja – to byli konkretni ludzie, sąsiedzi działający dla sąsiadów. Czułam ich zaangażowanie i starałam się, by Poznań też się o nich dowiedział.

Przemek: White Helmets to ikona ratownictwa na świecie. To jedyna ochotnicza formacja, która niesła pomoc ludziom bombardowanym przez reżim Asada, mimo że akcje ratunkowe były atakowane. Wielu z ich ratowników zginęło podczas bombardowanych akcji – podobnie jak dziś dzieje się to w Ukrainie czy w Strefie Gazy. A jednak nigdy się nie złamali, nie wycofali, nie przestali pomagać. Mają na koncie dziesiątki tysięcy uratowanych istnień. Dla świata ratowniczego to absolutny punkt odniesienia.

Krystian: Dla mnie to przede wszystkim ratownicy z krwi i kości. Ludzie, którzy działają w warunkach, w których większość systemów ratowniczych na świecie po prostu by nie funkcjonowała. Kiedy wchodzisz z nimi w trening, widzisz ogromną pokorę, ale też determinację i gotowość do nauki.

Skąd pomysł stworzenia zespołów psów ratowniczych K9?

Paulina: Poza protestowaniem, jeździłam na pogranicze turecko-syryjskie. Dzięki tym wyjazdom mogłam spotykać się z przed-

stawicielami BH (Białe Hełmy, przyp. red.) w Turcji. Pomyślałam, że jeśli mają się dalej rozwijać, powinni mieć grupę psów ratowniczych K9, bo psy są w tej dziedzinie absolutnie niezastąpione.

Znajomy skontaktował mnie z Przemkiem Rembielakiem – strażakiem i ekspertem ratownictwa, znanym z międzynarodowych misji. I to był strzał w dziesiątkę! Nigdy nie zapomnę naszej pierwszej rozmowy. Akurat pomagałam w czasie trzęsienia ziemi na granicy z Syrią. Mieliśmy postój w Gaziantep. Był zimny, późny wieczór, a ja przez prawie godzinę chodziłam po tureckich uliczkach i opowiadałam obcemu człowiekowi o tym, dlaczego BH potrzebują psów ratowniczych.

Przemek: Słuchałem i zadawałem konkretne pytania. Tworzenie nowej gałęzi ratownictwa w całym państwie nie może odbywać się „na próbę”. Najbliższe trzęsienia ziemi zweryfikują wszystko – i nie będzie miejsca na tłumaczenia.

Paulina: Na koniec Przemek powiedział: wchodzę w to. Nie opieprzył mnie, że dzwonię późno, że zawracam mu głowę, że to szalone... itp. Wysłuchał mnie i uwierzył w ten pomysł. Tylko tyle i aż tyle. Od tamtego telefonu minęło parę lat.

Dlaczego tak długo trwało przejście od idei do realnych działań?

Paulina: Przez długi czas wszystko było niemożliwe – nie dało się ani przyjechać do Syrii, ani ściągnąć ratowników do Europy. W międzyczasie w Aleppo zaczęła tworzyć się w BH specjalna grupa osób zaangażowanych w K9. Aż w końcu nadszedł grudzień 2024 i ten wyczekiwany przez wielu dzień – reżim Asada upadł.

W maju zostałam oficjalnie zaproszona na pierwsze krajowe spotkanie Syryjskiej Obrony Cywilnej, gdzie mogłam powiedzieć ponad setce przedstawicieli BH, że wiele osób w moim mieście i kraju cieszy się razem z nimi, że trzymamy kciuki za ich wolność i odbudowywanie kraju, a także spotkać się z wieloletnim, głównodowodzącym BH Raedem Salehem. Wróciłam do tematu psów ratowniczych i dostaliśmy zielone światło.

Co było dalej?

Paulina: Po powrocie do Polski skontaktowałam się z Przemkiem z prośbą o znalezienie trenera. Znalazł najlepsze – Krystiana Faltyna – który wszedł do naszej małej ekipy



py bez zadawania zbędnych pytań. Tak, jak gdyby było to coś normalnego.

W 2025 roku dzięki wsparciu moich przyjaciół z fundacji Kids Paradise, partnera projektu, wysiedliśmy na lotnisku w Aleppo. Powitał nas Khaled, dowodzący pierwszą grupą psów ratowniczych K9 w Syrii. Chłopcy pakowali się do auta, a ja stałam jeszcze sekundę w parzącym syryjskim słońcu, patrząc na ten obrazek. Pomyślałam wtedy: cholera, my naprawdę to robimy!

Jak wyglądała praca szkoleniowa z pierwszym zespołem K9 w Syrii?

Krystian: Misja od początku była trudna i logistycznie bardzo złożona. Rozpoczęliśmy pracę z nowo powstałym zespołem K9 – jedynym takim w Syrii, działającym w strukturach White

„Polskie linie papilarne odcisnięte na syryjskiej ziemi będą powodem do dumy przy każdym uratowanym ludzkim istnieniu”

Helmets. Zaczynaliśmy absolutnie od podstaw. Mieliliśmy kilkanaście psów w różnym wieku i kilkunastu przewodników, których trzeba było nauczyć nie tylko pracy z psem, ale też myślenia treningowego. Zajęcia musiały być prowadzone od absolutnych podstaw. Każdy dzień poświęcony był pracy z psem oraz podstawowej teorii z zakresu kynologii i ratownictwa. Budowaliśmy fundamenty, bez których nie da się mówić o skutecznych działaniach.

Pod względem terenu warunki były bardzo dobre. Mieliliśmy duże możliwości przygotowania różnorodnych ćwiczeń – od socjalnych po zaawansowane prace węchowe z dużymi przeszkodami i osobami niedostępnymi. Natomiast warunki atmosferyczne, a przede wszystkim bardzo wysoka temperatura i ciągle słońce, znacząco utrudniały pracę.

Przemek: Jeśli formacja taka, jak BH, prosi o pomoc w budowie zespołów poszukiwawczych z psami ratowniczymi, to nie ma miejsca na półśrodki. Z jednej strony jest to ogromne wyróżnienie w świecie ratownictwa. Z drugiej – bardzo poważne zobowiązanie.

Ratownictwo nie wybacza amatorszczyzny ani efekciarstwa. Premiowane są wyłącznie profesjonalizm i rzetelność. Od tego zależy ludzkie życie, a nie dobre wrażenie. Każdy błąd wraca później w najgorszym możliwym momencie – podczas realnej akcji. W ratownictwie nie da się tłumaczyć po fakcie, że czegoś zabrakło albo czegoś się nie dopilnowało. Dlatego tak ważne było znalezienie ludzi, którzy rozumieją wagę tej odpowiedzialności.

Dlaczego psy ratownicze są tak kluczowe w działaniach po katastrofach?

Przemek: Psy K9 lokalizują ludzi tam, gdzie nie ma dostępu, gdzie nie wiadomo nawet, czy ktoś jeszcze żyje. W ratownictwie czas jest wszystkim – „złota godzina” nie jest rozciągliwa. To bardzo krótki moment, w którym można uratować życie, jeśli kogoś odnajdziemy i szybko dostarczymy pomoc medyczną. W tym sensie psy są niezastąpione. Psi nos potrafi wykryć żywego człowieka wielokrotnie szybciej niż najczulsze urządzenia elektroniczne. To czysta biologia działająca na rzecz życia.

Krystian: Dzięki psom można szybciej podjąć decyzję o miejscu działań, skierować siły tam, gdzie naprawdę są potrzebne. To realne narzędzie, nie symbol.

Jaką przyszłość widzicie dla ratownictwa K9 w Syrii?

Krystian: Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze możliwość powrotu do Syrii i kontynuacji projektu na coraz bardziej zaawansowanym poziomie. Naszą ideą jest stworzenie lokalnej kadry instruktorskiej, która będzie w stanie rozwijać ratownictwo K9 w całej Syrii, niezależnie od naszej fizycznej obecności. Ratownicy zostali z wiedzą, która pozwala im na dalsze szkolenia i treningi we własnym gronie. Dzięki spotkaniom online i wymianie relacji z treningów możemy na bieżąco korygować pracę oraz wyznaczać nowe cele.

Przemek: Polskie linie papilarne odcisnięte na syryjskiej ziemi będą powodem do dumy przy każdym uratowanym ludzkim istnieniu. To wyraz determinacji i empatii, którą w naszym środowisku nazywamy *brotherhood of firefighters*. To solidarność ponad granicami.

Paulina: Muszę dotrzymać słowa danego ekipie w Syrii. Stworzymy tam nie tylko profesjonalną i najlepszą grupę psów ratowniczych, ale także projekty edukacyjne wokół profesjonalnego treningu i etyki pracy ze zwierzętami. K9 NosePrint Project Syria to dla mnie coś więcej niż ratownictwo – to potężny, żywy dowód na niesamowitą solidarność między Polską a Syrią, pokazujący, że mimo tysięcy kilometrów nasze serca biją w tym samym rytmie.



Niestety, zegary w Syrii nie zatrzymały się, a wyszkolone psy i ich przewodnicy nie mogą czekać. Staramy się robić, co w naszej mocy i prowadzimy monitoring, organizujemy spotkania online i konsultacje na odległość, ale to nie wystarcza. Nic nie zastąpi bezpośredniej pracy w terenie, zakupu sprzętu, który ratuje łapy i życia, oraz realnej obecności tam, gdzie każdy dzień zwłoki jest stratą nie do odrobienia. Wierzę, że z odpowiednim wsparciem jesteśmy w stanie zrobić jeszcze wiele dobrego.

Chcecie obejrzeć, jak Polacy szkolą psich ratowników w Syrii? Odwiedźcie profil Youtube'owy@REPOspolitaTV. Chcecie stać się częścią projektu K9 NosePrint Project Syria? Wsparcie zbierkę pod adresem: <https://pomagam.pl/yhamkd>.

Fundusze zostaną przeznaczone na:

- organizację i koordynację kolejnych sesji szkoleniowych dla psów i przewodników w Syrii w najbliższych miesiącach,
- zakup niezbędnego profesjonalnego sprzętu: uprząży, kamizelek, mat chłodzących, lokalizatorów GPS, sprzętu ochronnego,
- opiekę weterynaryjną i specjalistyczną karmę dla psów ratowniczych.
- wyposażenie lokalnej bazy Jednostki K9: kojce, teren szkoleniowy, materiały dydaktyczne i systemy komunikacji,
- uzupełniające szkolenia z pierwszej pomocy i reagowania na katastrofy dla lokalnej społeczności.



Migrant Info Point w Poznaniu

Ponad Dekada Budowania Mostów i Wspólnoty Międzykulturowej

Autor: **Natalia Bednarz**

Zdjęcie: **Vera Petruchik**

Choć Migrant Info Point (MIP) działa w Poznaniu już ponad dekadę, nie wszyscy wiedzą o jego istnieniu i misji. Dziś to coś o wiele więcej niż punkt informacyjny i pomocowy – to przede wszystkim dynamiczna przestrzeń, w której mieszkańcy Poznania wspólnie budują otwartą i wielokulturową wspólnotę.

Projekt MIP wystartował w 2013 roku jako odpowiedź na rosnące potrzeby osób z doświadczeniem migracji mieszkających lub chcących zamieszkać w Poznaniu – od specjalistów szukających zatrudnienia po rodziny uchodźców. Choć pierwotnie inicjatywa miała charakter projektu dwuletniego, ogromne zainteresowanie i skala potrzeb skłoniły zespół do podjęcia decyzji o kontynuacji. W ten sposób powołano do życia Fundację Centrum Badań Migracyjnych, która od tego czasu aktywnie pozyskuje fundusze na działalność MIP. To dzięki temu wsparciu, większość działań informacyjnych i integracyjnych pozostaje dla migrantów bezpłatna.

MIP – tu zaczyna się nowe życie

– Przyjechałam do Poznania sama i czułam się zagubiona w gąszczu formalności. Dzięki wsparciu MIP nie tylko uzyskałam kartę pobytu, ale znalazłam kurs polskiego oraz przyjaciół. Dziś czuję się u siebie – mówi Ekateryna z Rosji, jedna z beneficjentek MIP. Aspekty społeczne i budowanie wspólnoty docenia także Steven z Tajwanu: – Dzięki MIP poznałem innych imigrantów, którzy chętnie uczą się lokalnego języka i nawiązują kontakty z innymi obcokrajowcami, co prowadzi do nowych, wartościowych przyjaźni.

Marianelli z Wenezueli MIP pomógł w uzyskaniu porady prawnej i rozwiązaniu problemów z właścicielem mieszkania: – To było bardzo pomocne, ponieważ nie mówię po polsku. Otrzymałam też wsparcie w urzędzie przy rozwiązaniu problemu z moim dokumentem tożsamości – krok po kroku wszystko zostało mi bardzo dobrze wyjaśnione.

Do Migrant Info Point trafiają też całe rodziny, nierzadko z trudną, wręcz dramatyczną historią. – Uciekliśmy z Rosji przed reżimem, z którym się nie zgadzamy. MIP stał się dla naszej rodziny prawdziwym wsparciem w nowym życiu. Otrzymaliśmy tutaj nieocenioną pomoc w różnych dziedzinach: nauka języka, konsultacje w zakresie uznawania dyplomów, wymiany prawa jazdy, rynku pracy i pomoc prawna w przygotowaniu dokumentów do legalizacji. Wydaje się, że takie podstawowe rzeczy w nowym kraju powinny być proste, ale tak na-

„Migrant Info Point pozostaje otwarty nie tylko na migrantów, lecz także na mieszkańców Poznania, zapraszając ich do wspólnych wydarzeń i rozmów budujących międzykulturowe porozumienie”

prawdę stają się ważnymi i trudnymi zadaniami, które trzeba rozwiązać w krótkim czasie. MIP to niesamowici ludzie, prawdziwi profesjonaliści, i zawsze będę im wdzięczna za to, że byli obok w trudnym momencie dla naszej rodziny i pomogli nam z powodzeniem rozpocząć nowe życie w nowym kraju – wspomina Ekateryna.

Kluczowe obszary pomocy MIP

Od samego początku MIP stawia na kompleksowość. Jego celem jest wsparcie osób z doświadczeniem migracji na każdym etapie adaptacji – od zawiłych procedur prawnych, aż po pełną integrację społeczną. Punkt zapewnia bezpłatne i wielojęzyczne konsultacje, stanowiące fundament dla bezpiecznego startu w Polsce:

- **Pobyt i Praca:** Legalizacja pobytu i zatrudnienia – kluczo-
we dla stabilizacji.
- **Życie Codzienne:** Porady formalne, urzędowe i zdrowotne,
ułatwiające poruszanie się w polskim systemie.



fot. Barbara Sinica

- **Kariera:** Wsparcie w poszukiwaniu pracy, tworzeniu profesjonalnych CV oraz zakładaniu własnej działalności gospodarczej.
- **Edukacja:** Kursy języka polskiego na wszystkich poziomach zaawansowania oraz specjalistyczne warsztaty tematyczne.

MIP polskim liderem integracji

Po ponad dekadzie działalności Migrant Info Point stał się symbolem integracji i punktem odniesienia dla podobnych inicjatyw w innych miastach. Poznański model wyróżnia się przede wszystkim doświadczeniem – przez ponad dziesięć lat projekt ewoluował z punktu informacyjnego w szeroko zakrojoną inicjatywę społeczną i kulturalną. Jego siłą jest kompleksowość działań, opartych na indywidualnym podejściu i łączeniu wsparcia formalnego, językowego oraz społecznego.

Ważnym elementem jest także wielojęzyczność – pomoc udzielana jest w języku polskim, angielskim, rosyjskim i ukra-

„Film jest doskonałym pretekstem do rozmowy – właśnie wspólnie coś obejrzelіśmy i mamy na świeżo emocje związane z historią i jej bohaterami. Celem nie są filmoznawcze dywagacje, a podzielenie się osobistym odbiorem dzieła filmowego”

ńskim, a w miarę możliwości również w innych językach. To wszystko uzupełnia konsekwentnie realizowana idea dialogu: Migrant Info Point pozostaje otwarty nie tylko na migrantów, lecz także na mieszkańców Poznania, zapraszając ich do wspólnych wydarzeń i rozmów budujących międzykulturowe porozumienie.

Migrant Info Point pozostaje otwarty nie tylko na migrantów, lecz także na mieszkańców Poznania, zapraszając ich do wspólnych wydarzeń i rozmów budujących międzykulturowe porozumienie.

Migrant Point coraz częściej angażuje się także w działania o charakterze edukacyjnym i społecznym, w tym warsztaty, konferencje oraz programy współpracy z lokalnymi szkołami i instytucjami. Przykładem są konferencje związane z programem *Przyjazna szkoła – Dobrostan*, które mają wspierać dzieci i młodzież w kontekście wielokulturowości, czy seanse filmów hiszpańskojęzycznych z polskimi napisami w poznańskim kinie, otwarte dla wszystkich chętnych do poznawania kultur i języków.

Kino i edukacja włączająca

Na 2026 rok MIP zaplanował kolejne wydarzenia podkreślające integracyjny charakter swojej misji. Jednym z najciekawszych projektów jest cykl *Watch & Talk*, czyli wspólne wieczory filmowe z rozmową po seansie. To nie tylko sposób na ciekawe spędzenie czasu, ale też przestrzeń do międzynarodowej rozmowy, dzielenia się spostrzeżeniami i refleksjami – w atmosferze otwartości i wzajemnego zrozumienia.

– Prezentujemy różnorodność kina polskiego: od fabuł, przez filmy dokumentalne, po krótkie metraże i animacje. Film jest dla nas doskonałym pretekstem do rozmowy – pogłębionej dzięki temu, że właśnie wspólnie coś obejrzelśmy i mamy na świeżo emocje związane z opowiedzianą historią i jej bohaterami. Oglądanie filmów po polsku to okazja do ćwiczenia znajomości polszczyzny, ale także ciekawa lekcja z obyczajów czy historii naszego kraju – mówi Gosia Kuzdra, koordynatorka działań filmowych w MIP. Film jest doskonałym pretekstem do rozmowy – właśnie wspólnie coś obejrzelśmy i mamy na świeżo emocje związane z historią i jej bohaterami. Celem nie są filmoznawcze dywagacje, a podzielenie się osobistym odbiorem dzieła filmowego.

Kolejnym kinowym punktem w kalendarzu MIP jest *Vamos al cine* – kino dla wszystkich. W ramach cyklu widzowie mogą obejrzeć seans filmu po hiszpańsku z polskimi napisami w jednym z poznańskich kin. Wydarzenie otwarte jest zarówno dla migrantów, jak i mieszkańców miasta – świetna okazja, by poznawać języki, kultury i okoliczności spojrzeń innych ludzi.

– Ogromnie się cieszę, że w tym roku nie tylko będziemy kontynuować comiesięczne projekcje filmów polskich z angielskimi napisami (*Watch & Talk*) ale także planujemy rozwijać cykl seansów w języku hiszpańskim *Vamos al cine*. Pierwsze projekcje skierowane do Latynosów mieszkających w Poznaniu pokazały nam, jak ważne jest stworzenie przestrzeni do spotkania tej grupy z Poznaniakami mówiącymi po hiszpańsku. To bezcenne dla wszystkich uczestników – dodaje Gosia.

Ważne jest to, że na spotkania filmowe są dostępne dla wszystkich Poznaniaków. Nie trzeba być nowym mieszkańcem



i pochodzić z dalekiego kraju – wystarczy ciekawość kina i ludzi. Jest to okazja do obejrzenia ciekawych filmów i poznania nowych osób, praktyki języka angielskiego czy hiszpańskiego.

Harmonogram filmowych spotkań dostępny jest na stronie MIP, a także na Facebookowym fanpage'u: <https://www.facebook.com/migrantinfopoint>. Wstęp jest bezpłatny – wymagana jest jedynie uprzednia rejestracja.

Migrant Point to dowód na to, że prawdziwa integracja odbywa się tam, gdzie ludzie z różnych kultur spotykają się, nawiązują przyjaźnie i wspólnie rozwijają swoje kompetencje, stając się silniejszą częścią Poznania. To model, którym warto się inspirować.

Działania Migrant Info Point są bezpłatne dzięki funduszom pozyskiwanym przez Fundację Centrum Badań Migracyjnych. Jeśli szukasz wsparcia w MIP, prosimy o kontakt:

Poprzez formularz zgłoszeniowy:

na stronie www.migrant.poznan.pl

Telefoniczny: +48 503 979 758 (w godzinach otwarcia biura)

W sprawach innych niż konsultacyjne (np. współpraca, media, wsparcie finansowe) skorzystaj z kontaktu e-mail: office@migrant.poznan.pl.



„DIY or DIE”

Jędrrek Wawrzyniak

Rozmawiał: **Michał Krupski**

Zdjęcia: **Wojciech Kasprzak**

Jędrrek Wawrzyniak to jedna z tych postaci, które od lat konsekwentnie budują własny ekosystem wokół ciężkich, psychodelicznych brzmień. Lider poznańskiego zespołu Red Scalp – formacji powstałej w Pleszewie, a dziś doskonale rozpoznawalnej na polskiej i coraz częściej europejskiej scenie stoner rockowej – od dawna działa także poza samą sceną. Niektórzy kojarzą go zza lady Winiarni Pod Czarnym Kotem, ale teraz już prowadzi swoją knajpę Fuzz, miejsce zanurzone w berlińskiej estetyce i duchu DIY, będące naturalnym punktem spotkań lokalnego undergroundu i nie tylko. Najmocniej jego nazwisko rezonuje jednak z Red Smoke Festival – kameralnym, trzydniowym wydarzeniem, które z roku na rok umacnia swoją pozycję jako obowiązkowy punkt wakacyjnego kalendarza fanów ciężkiej muzyki. Organizowana w Pleszewie impreza słynie z bezpośredniej, przyjaznej atmosfery, starannie dobranych line-upów i wyraźnie autorskiej wizji. W tym roku Red Smoke Festival odbędzie się już po raz jedenasty.

Pomówmy o Red Scalp. Ostatnio wydaje się, że jesteście nieco mniej aktywni. Z czego to wynika?

Nasz perkusista Mateusz został tatą! To jeden z powodów mniejszej aktywności, ale prawda jest też taka, że pracujemy nad nowym materiałem.

W tym roku chcecie wydać ten materiał?

Tak, chcemy nagrać i wydać nowy materiał oraz grać dużo koncertów w kraju i za granicą. Bardzo brakuje nam grania live, którego w zeszłym roku było zdecydowanie za mało. Ten rok będzie inny.

Spodziewam się, że w takim razie planujecie w najbliższym czasie jakiś koncert w Poznaniu...

Tak, ale czekamy na wiosnę. Postaramy się wykombinować jakiś fajny event.

Od kilku lat prowadzisz knajpę Fuzz. Obecnie funkcjonujecie przy ulicy Szyperskiej, wcześniej byliście na Gwarnej. Opowiedz, czym jest Fuzz i dlaczego zdecydowaliście się na zmianę lokalizacji.

Fuzz to knajpa dla każdego – zjesz, wypijesz, czasem potańczysz, ale głównie zależy nam na tym, żeby każdy czuł się u nas dobrze. Mimo że podejściami do prowadzenia baru i wizualnie pewnie odbiegamy od aktualnych trendów, robimy swoje. Ciśniemy ten underground.

Zmiana lokalizacji była wymuszona przez remonty centrum. Jak się później okazało, przez ponad rok prowadzenie działalności na ul. Gwarnej było niemożliwe. Ucieczka taktyczna była dobrą decyzją. Nowa lokalizacja nie była planowana, ale spróbowaliśmy jeszcze raz i już ponad dwa lata siedzimy na Szyperskiej. Jest inaczej, ciekawiej – mogliśmy zrobić trochę eventów, czego nie dało się zrobić na Gwarnej.

W Fuzzie organizowaliście też koncerty uliczne. Zdecydowanej większości osób bardzo się one podobały, choć zdarzali się również niezadowoleni sąsiedzi. Czy udało się wypracować kompromis i czy planujecie kontynuować tę inicjatywę?



Te koncerty były – i mam nadzieję, że będą – małą ozdobą Fuzza, ale są to wyjątkowe okazje i nie będzie ich wiele. Już wiemy, na co możemy sobie pozwolić, a na co nie, dzięki sąsiedzkiej interwencji i wtargnięciom na „scenę” (śmiech). Nie wchodzimy sobie w drogę z sąsiadami i jest ok.

Jeszcze kilka lat temu organizowałeś sporo koncertów klubowych w Poznaniu. Jedną z inicjatyw był cykl Red Smoke Winter Edition. Dlaczego zdecydowałeś się go zakończyć?

Przez otwarcie Fuzza czas na organizację eventów zniknął i musiałem podjąć decyzję o zakończeniu bookingów. Ale coraz częściej pojawia się tęsknota i myśl o wznowieniu tej inicjatywy oraz zrobieniu kilku eventów. Kto wie!

Red Smoke Festival w Pleszewie odbędzie się już po raz jedenasty, co najlepiej świadczy o dobrej kondycji tego projektu. Czy miałeś kiedykolwiek chwile zwątpienia i momenty, w których zastanawiałeś się nad jego przyszłością?

Po pandemii eventy tego typu nie wyglądają już tak samo. Kiedyś festiwal wyprzedawał się w pięć minut, teraz trwa to znacząco dłużej, mimo że line-upy są wciąż naładowane mocnymi zawodnikami. Nie dziwi nas to, bo koszty – a co za tym idzie ceny biletów – bardzo poszły w górę. No i czasem mam chwile zwątpienia, czy to wszystko ma sens w kraju przeładowanym koncertami i festiwalami, bo zawsze chodziło o zjawę na dobry klimat, muzykę i przystępność. Teraz u tę zjawę trzeba walczyć.

Jak wygląda proces doboru zespołów na festiwal? Jaki klucz decyduje o tym, kto pojawi się na scenie Red Smoke?

Co roku mam listę moich typów – zależnie od tego, ilu z nich uda się zaprosić, tworzy to podstawę składu. Następnie przeglądam oferty i staram się dobrać zespoły klimatem do danego dnia i innych wykonawców w line-upie. Stawiam na eksperymenty. Eklektyzm jest ważny, żeby każdego dnia była różnorodność – wszyscy mają to, co lubią, oraz to, czego nie lubią, i wtedy można odpocząć. Reasumując: decyduję ja. (śmiech) Ale to nie znaczy, że jeśli ktoś się zgłosił i nie znalazł się w line-upie, to jest kiepski i go nie chcemy. Dostajemy co roku kilkaset zgłoszeń!

Masz bardzo dobre relacje z władzami Pleszewa. Na czym dokładnie polega Wasza współpraca i jak wygląda wsparcie ze strony miasta?

Na początku nie było tak kolorowo, ale nie ma się co dziwić. Przyszliśmy z Łukaszem z propozycją festiwalu, nie mając pojęcia, jak to się robi. Dwa pierwsze lata upłynęły raczej w atmosferze ograniczonego zaufania. Ale gdy wypaliło, miasto zaangażowało się w pełni. Władze Pleszewa udostępniają nam miejsce bezkosztowo i pomogły w kontaktach z innymi organami, aby wszystko odbywało się w porozumieniu, legalnie i profesjonalnie. Promują także festiwal w mieście i pomagają nam rozwiązywać problemy administracyjne.



Red Smoke funkcjonuje jako inicjatywa DIY – nie widać na festiwalu sponsorów, nie chwalicie się też dotacjami czy grantami. Czy w takim razie wydarzenie utrzymuje się wyłącznie z karnetów i biletów?

Tak, festiwal opiera się całkowicie na biletach. Artyści to jedna część, a druga to wszystkie koszty związane z produkcją: scena, hospitality, meble, namioty, ochrona, sanitariaty itd. Ceniśmy sobie niezależność, a zewnętrzni sponsorzy często narzucają warunki, z którymi nie zawsze jest nam po drodze. DIY or DIE!

Festiwal skierowany jest do dość wąskiego grona odbiorców – stoner rock to jednak nisza. Jak na Red Smoke reagują mieszkańcy Pleszewa, zwłaszcza że większość z nich nie uczestniczy bezpośrednio w wydarzeniu?

Dziś impreza traktowana jest jako stały punkt programu w Pleszewie i od wielu lat nie było ze strony mieszkańców negatywnego nastawienia. Jeszcze przed pandemią postawiliśmy na dużo lepsze nagłośnienie, które jednocześnie ograniczyło hałas roznoszący się po okolicy. Staramy się robić Red Smoke z uszanowaniem mieszkańców. To prawda, że nie jest to event stricte dla Pleszewian, ale co roku pojawia się kilkadziesiąt osób z miasta i aktywnie uczestniczy w festiwalu. Nie wspominając o space-
rowiczach, którzy zawsze gromadzą się, by zerknąć, co się dzieje.

Idąc za zasadą „dobre nie wyklucza lepszego” – czy uważasz, że Red Smoke może jeszcze zrobić kolejny krok do przodu? Zmienić coś w swoim funkcjonowaniu? A może ten format jest już optymalny i nie ma potrzeby zmian?

Zmiany wprowadzamy co roku, ale są to raczej drobne elementy mające ulepszyć odbiór imprezy. Powiększenie festiwalu nie wydaje nam się dobrym rozwiązaniem z uwagi na niszę, w której działamy, oraz konieczność dużych i diametralnych zmian, chociażby związanych z innym miejscem imprezy. Stawiamy na kameralność i jakość.

Na koniec chciałbym zapytać o kondycję polskiej sceny stonerowej. Kilka lat temu boom na ten gatunek wyraźnie wyhamował, ale jednocześnie pojawiło się wiele zespołów, które zyskały międzynarodową rozpoznawalność. Jak Ty to oceniasz z perspektywy organizatora?

Mamy kilku zawodników, którzy zaczęli grać regularne trasy za granicą oraz duże festiwale. Osiągnęli to ciężką pracą, a ich status bardzo cieszy, bo polska scena stonerowo-doomowo-psychodeliczna jest szanowana i znana na świecie. To fakt – boom trochę przeminął, ale nadal powstają nowe składy, które wiedzą, „co jest pięć”. Myślę, że czas na szybką popularność już minął, ale ci, którzy cisną i dużo grają, będą docenieni.

„Jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu”

Bambi Uzi

Rozmawiał: Dawid Balcerek

Zdjęcia: Sylwia Klaczyńska



Na scenie klubowej działa od 2017 roku. Pierwsze kroki za deckami stawiała w Bydgoszczy, Toruniu i swojej rodzinnej Łodzi. Zakochana w brzmieniach drum & bass, przeszła drogę z grania w zaciszu domowym po największe festiwale w kraju. Na co dzień DJ-ka, promotorka, organizatorka imprez, bookerka klubu, prezenterka radiowa oraz... wykładowczyni prawa na Uniwersytecie Łódzkim. Członkini słynącej z zamiłowania do połamanej muzyki ekipy DrumObsession. Niedawno oficjalnie została pyrką, choć przez ostatnie miesiące dosłownie mieszkała na walizkach, łącząc obowiązki zawodowe w Poznaniu i Łodzi. Na szczęście zakończyła niedawno przeprowadzkę i znalazła w tym chaosie czas na rozmowę z nami.

Zacznijmy może od takiego luźnego pytania i sprawdźmy, co lub kto ukształtował Twój gust muzyczny. Pamiętasz, czego słuchało się u Ciebie w domu, gdy byłaś młodsza?

Muzykę kochałam od zawsze. Trudno mi wskazać jeden konkretny moment, od którego się zaczęło. W moim domu rodzinnym słuchało się różnych rzeczy – czasem polskiej muzyki, czasem radiowych hitów. Pamiętam na przykład, jak wałkowaliśmy album Kayah i Bregovića, znając na pamięć wszystkie teksty. Jako mała dziewczynka byłam zapatrzona w Spice Girls – miałam wszystkie ich kasety, tańczyłam z siostrą do ich piosenek i kolekcjonowałam wycinki z gazet. Ich przekaz „girl power” towarzyszył mi od najmłodszych lat.

Muzyczne eksploracje zaczynałam klasycznie: od radia słuchanego na magnetofonie i MTV – to były jeszcze czasy, gdy było tam dużo muzyki. Z czasem przeniosłam się do Internetu, który otworzył przede mną nieograniczone zasoby. Moje gusta przeszły przez te lata ogromną ewolucję – fascynował mnie rock, rap, polski hip-hop, R&B czy pop. Elektronikę pokochałam nieco później, ale ona została ze mną najdłużej. Nigdy jednak nie zamykałam się w jednym klimacie. Dla mnie od zawsze najważniejsze było to, jakie emocje wywołuje we mnie dany utwór. Ta intuicyjna selekcja, oparta na odczuwaniu i szukaniu w muzyce wyrazu dla mojego nastroju, ukształtowała moją dzisiejszą wrażliwość.

Łódź od zawsze była mocno kojarzona ze sceną DNB. Na pewno miało to duży wpływ na Twoją dalszą fascynację muzyczną. Pamiętasz swoje początki z DNB? Co Cię ujęło w tych połamanych brzmieniach?

Pierwszym numerem drum & bassowym, jaki usłyszałam w życiu, był „Darkside” od łódzkiego składu Sonic Trip. To były okolice 2000 roku, trafiłam na ten kawałek przypadkiem, pożyczając kasetę od kolegi jeszcze w gimnazjum. Pamiętam wyraźnie ten moment, gdy odpaliłam kasetę na mojej czarnej wieży – to było coś zupełnie innego niż wszystko, co do tamtej pory znałam. Ujęła mnie dynamika tej muzyki, jej surowość i energia płynąca z po raz pierwszy zasłyszanego reese bassu. Wtedy oczywiście nie wiedziałam, że tak



się to nazywa, ale jest wysoce prawdopodobne, że tamtego wieczoru na mojej twarzy wymalował się pierwszy bassface. (śmiej)

A moment, kiedyś stwierdziłaś, że chcesz grać? Miałaś może swojego mentora lub mentorkę, którzy wprowadzili Ciebie w ten świat muzyki i grania?

Konkretnie pragnienie grania pojawiło się w 2017 roku. W dość trudnym dla mnie momencie życia potrzebowałam odskoczni – czegoś, co dałoby upust mojej energii i byłoby przestrzenią tylko dla mnie, gdzie mogłabym się kreatywnie „wyżyć”. Zdecydowałam, że po dekadzie wyprawię sobie prawidłą osiemnastkę, której wcześniej nie miałam. Zamarzyło mi się,

żeby na niej wystąpić. Muzyka jarała mnie od zawsze, w tamtym czasie namiętnie tworzyłam swoje playlisty i w końcu uznałam, że czas pójść z tą zajawką krok dalej.

Pierwsze ruchy na kontrolerze pokazał mi Buhhaj, dzięki któremu ogarnęłam techniczne podstawy i mogłam zagrać pierwsze imprezy. Potem przyszły długie godziny samodzielnej nauki, poszerzania horyzontów i poszukiwań swojego soundu. Przełomem było moje pierwsze DrumObsession w 2019 roku i nawiązanie bliższej relacji z Alegrią. Jeśli miałabym kogoś nazwać swoim muzycznym mentorem, to właśnie jego. Nie dość, że zakochałam się w człowieku, to bardzo ujęła mnie jego wrażliwość, ogromne serce i nastawienie do budowania sceny. Dużo się od niego nauczyłam, zwłaszcza w kontekście mentalnego podejścia do grania i poruszania się w tym specyficznym światku. Jakkolwiek banalnie by to nie brzmiało – połączył nas drum & bass. (śmiej)

Poznań też nie jest Ci obcy, grałaś tu mnóstwo razy i znasz dobrze naszą scenę. Możesz porównać te dwa miasta ze sobą?

Zdecydowanie nie jest mi obcy – przewrotnie mogę stwierdzić, że to właśnie Poznań okazał się moją ziemią obiecaną. W obu miastach spotykam na parkiecie wspaniałych ludzi – basowe community jest jedyne w swoim rodzaju! Jeśli jednak miałabym pokusić się o subiektywną ocenę basowego podwórka w obu miastach, to Poznań wygrywa u mnie przede wszystkim otwartością i różnorodnością. Oferta imprez z muzyką basową jest tu bardziej zróżnicowana, a publika niezwykle wyedukowana i otwarta na nowe bodźce. Po latach konsekwentnej pracy takich kolektywów jak m.in. DrumObsession czy Dungeon Beats, poznańscy klubowicze nie boją się eksperymentów, a promotorzy chętniej stawiają na nieoczywiste bookingi.

Warto zauważyć, że sytuacja imprezowa w obu miastach przeszła w ostatnich latach spore przeobrażenia – część miejscówek była zmuszona się zamknąć, a przyzwyczajenia klubowiczów diametralnie się zmieniły. Mimo tych turbulencji, bardzo się cieszę, że moje rodzinne miasto stało się domem dla Audioriver, a od kilku lat Łódzianie zegnają wakacje na reaktywowanej po 20 latach Paradzie Wolności. Szczególne miejsce

w moim sercu ma także festiwal Ravekjavík, który od blisko dekady wprowadza muzykę i sztukę w niedostępne na co dzień, pofabryczne przestrzenie, świetnie wpisując się w surowy, industrialny klimat Łodzi. To miasto ma ogromny potencjał.

Największa różnica leży niestety w podejściu części środowiska i relacjach pomiędzy ludźmi. Poznańskie ekipy basowe potrafią realnie ze sobą współpracować, wzajemnie się wspierać i grać do jednej bramki. Łódzkie podwórko bywa pod tym względem trudne, a nastawienie części lokalnych graczy bywa toksyczne. Przekonałam się o tym na własnej skórze, gdy wiele osób, z którymi przez lata zbijałam piątki, zmieniło nastawienie do mnie w momencie, gdy moje działania zaczęły nabierać tempa. Mój rozwój stał się dla niektórych niewygodny. To przykre, że w kulturze, która powstała na fundamentach jedności i szacunku, sukces wciąż bywa paliwem dla niechęci, defensywnych reakcji i małostkowej zawiści. Nie mam oczywiście na myśli wszystkich, znam super promotorów z Łodzi robiących świetną robotę, ale te negatywne przykłady kładą się cieniem na całości. W Poznaniu przekonałam się, że scena może opierać się na zdrowych fundamentach. Tu czuję, że mogę rozwinąć skrzydła i PLUR nie jest jedynie wyświechtanym frazesem.

Głęboko wierzę, że z czasem ta sytuacja się polepszy, a łódzka scena basowa bardziej się otworzy i nieco odpuści kwestię ego czy niezdrowej rywalizacji. Chciałabym, aby Łódź stała się prawdziwą „ziemią obiecaną”, wolną od uprzedzeń, branżowych zawiści i nieczystych zagrań. To zawsze będzie moje miasto i za każdym razem będę tam wracać z nadzieją, że muzyka wygra z lokalnymi animozjami. Niezależnie od tego, gdzie mnie życie poniesie, chcę swoimi działaniami udowodniać, że scena może być miejscem wsparcia, a nie walki o wpływy.

Wcześniej byłaś rezydentką w Schronie, ale teraz zostałaś również bookerką tego klubu. Jaki masz pomysł na to miejsce i czego może spodziewać się Poznań po Twojej osobie? Będziesz próbowała przemycić więcej DNB czy podchodzisz do tego „obiektywnie”?

Pomysłów zdecydowanie nie brakuje, a ich realizacja w dłuższej perspektywie będzie zależeć od kilku czynników.

„Poznańscy klubowicze nie boją się eksperymentów, a promotorzy chętniej stawiają na nieoczywiste bookingi”

Klub to żywy organizm, dlatego przede wszystkim badam frekwencję i zaufanie publiki, zwłaszcza przy bardziej niszowych propozycjach. Fundamentem zmian jest też sprawna współpraca z rezydentami, z którymi chcę budować spójną wizję artystyczną, a także dbałość o świadomą, zaangażowaną społeczność wokół klubu, dzięki której Schron jest miejscem inkluzywnym i bezpiecznym. To absolutna podstawa.

Ogromne znaczenie ma także sprawność i efektywność działania, dlatego zależy mi na wypracowaniu spójnych standardów organizacyjnych i komunikacyjnych, które przygotują nas na nowe wyzwania, jakie przed sobą stawiamy. Myślę, że to wartość dodana, jaką wnoszę do ekipy. Stopniowo nabieram rozpędu i coraz lepiej orientuję się w tajnikach funkcjonowania klubu, patrząc na Schron już nie tylko zza DJki, ale także przez pryzmat strategii, zakulisowej współpracy czy wartości całego programu muzycznego. W roli bookerki działam po raz pierwszy i całe to wyzwanie wymaga ode mnie sporo dyscypliny, ale daje też dużo zadowolenia. Momentem przełomowym był dla mnie niedawny Sylwester, czyli mój pierwszy, samodzielny line-up na tak dużą skalę. Impreza wypaliła powyżej oczekiwań, dzięki czemu poczułam prawdziwą satysfakcję i uświadomiłam sobie, że jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Poznań może się po mnie spodziewać profesjonalizmu, zaangażowania i świeżego spojrzenia budowanie oferty klubu. Chcę tworzyć przestrzeń, w której z jednej strony czujesz duszę undergroundu, a z drugiej strony wszystko jest dopięte na ostatni guzik pod

To przykre, że w kulturze, która powstała na fundamentach jedności i szacunku, sukces wciąż bywa paliwem dla niechęci, defensywnych reakcji i małostkowej zawiści

względem organizacyjnym. I gdzie czujesz, że jesteś u siebie (niezależnie od tego, po której stronie DJ-ki stoisz).

Czy będę przemyślała więcej mojej ukochanej basowy? Jak najbardziej, z pewnością będę promowała wydarzenia w tym klimacie – i nie mam tu na myśli tylko DNB, muzyka basowa ma o wiele więcej do zaoferowania! Nie zamierzam jednak dominować programu ani tym ani jakimkolwiek innym gatunkiem. Siłą dobrze prosperującego klubu jest dla mnie różnorodność i otwartość, jako bookerka podchodzę więc do tematu obiektywnie. Chcę, aby Schron był synonimem jakościowej elektroniki w każdym wydaniu. Nieważne, czy wylądujesz na imprezie deep house'owej, industrialnym techno, ciężkich drumach czy ambientach – chodzi o zaufanie i przekonanie, że niezależnie od klimatu muzyka w Schronie będzie na najwyższym poziomie.

Jakie masz największe marzenie dotyczące bookingu, który chciałabyś zrealizować w przyszłości?

A ile mamy czasu? (śmiech) Nie wystarczyłoby miejsca na wszystkie moje marzenia bookingowe, a o niektórych wręcz nie chciałabym mówić, żeby nie psuć potencjalnych niespodzianek. Ciężko mi „ważyć” te marzenia i ustawiać je w jakiś ranking. Z pewnością chciałabym ugościć w Schronie moje ukochane DJ-ki, czyli m.in. Baby T (jungle'owe alter ego B-Traits), basową

czarodziejkę Mię Kodan czy Madam X, która stoi na czele labelu Kaizen. Idealnie oddają one energię i świeżość, jaką chcę wprowadzać do Schronu.”

Ostatnio w Poznaniu na imprezach króluje hard techno. To obecnie się sprzedaje, ale jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby się bawić na luźniejszych imprezach. Widzisz ten trend? Jak sądzisz, z czego to może wynikać? Jeszcze niedawno królowały brzmienia tech-house oraz melodic techno.

Pewnie, widzę to bardzo wyraźnie – nie tylko w Poznaniu, ale i na całej europejskiej scenie. Moda rotuje i według mnie patrzymy teraz na wahadło trendów wychylone mocno w jedną stronę. Po latach lżejszych gatunków oraz trudnym okresie pandemii, który mocno zmienił nasze nawyki imprezowe, publika zwróciła się ku mocniejszym doznaniom. Nie bez znaczenia jest tu zmiana pokoleniowa i tiktokowa estetyka hard techno, które zrobiło się po prostu modne. Obecnie wyczuwam jednak pewne zmęczenie materiału i potrzebę powrotu do luźniejszych, bardziej przestrzennych brzmień. Przesyt jest nieunikniony, a wahadło zacznie wkrótce wychylać się w innym kierunku.

Żeby postawić sprawę jasno – nie mam nic przeciwko hard techno. Jako miłośniczka potężnego basu doceniam agresywną stopę w tej muzyce, jednak jestem przeciwna dominacji tego gatunku i stylistycznej monokulturze, która powoduje wypieranie innych, lżejszych brzmień z klubowych parkietów. Jako bookerka nie zamierzam eliminować takich imprez, bo mają one swoją oddaną publikę. Chcę po prostu proponować ciekawe alternatywy i przywrócić odpowiedni balans, dając tym samym wybór słuchaczom, którzy poszukują w elektronice nieco innych odcieni.

Jesteś członkinią ekipy DrumObsession, ale dzięki Twojemu „transferowi” lokalna scena DNB na pewno dużo zyska. Czy teraz Łódź lub inne miasta, z Twoją smyką organizacyjną, mogą liczyć też na Wasze imprezy?

Jak najbardziej, to już się dzieje! Na przestrzeni ostatnich lat odwiedziliśmy z DrumObsession wiele miast, zagraliśmy m.in. w katowickim CELu, białostockim FOMO (zdążyliśmy je odwiedzić niedługo przed zamknięciem!), łódzkiej Willi,



Nie postrzegam muzyki linearnie, jest to dla mnie przestrzeń wielowymiarowa, a całe moje didżejowanie to po prostu wyraz podążania za miłością do dźwięku

warszawskim K-Barze, trójmiejskim Drugim Domu czy krakowskim STK. Przed nami obchody 20-lecia kolektywu oraz setna edycja cyklu – kamienie milowe w naszej historii, które uczymy adekwatnie do rangi okazji. Choć sama jestem częścią składu dopiero od trzech lat, jestem pełna podziwu dla imponującego wyniku, jaki DrumObsession wypracowało przez dwie dekady.

Odpowiadając na Twoje pytanie – inne miasta zdecydowanie mogą na nas liczyć. Chciałabym, abyśmy dotarli z naszym vibe’em w kolejne zakątki Polski, a może i za granicę? Mamy już za sobą udany showcase na chorwackim festiwalu Membrain, czas na dalszą ekspansję. Na pewno ekipa może liczyć na moje pomysły i zapał – oby tylko wystarczyło sił i godzin w dobie na to wszystko. (śmiech)

Twoje zainteresowania muzyczne nie zamykają się tylko na muzykę DNB. Wspomniałaś, że zaczynasz mocno wchodzić też w inne gatunki muzyczne. W jakim kierunku chciałabyś iść ze swoimi setami?

Tu małe sprostowanie – ja właściwie od zawsze byłam multigatunkowa i nie mogłam muzycznie usiedzieć w miejscu – od dziecka jako miłośniczka muzyki i od początku istnienia Bam-bi Uzi jako DJ-ka i selektorka. Już mój pierwszy set, zagrany dla przyjaciół w grudniu 2017 roku, był jaskrawym i – z dzisiejszej

perspektywy – uroczo nieudolnym zlepek różnych klimatów, w którym drum & bass pojawił się dopiero na samym końcu.

Ta różnorodność towarzyszyła mi od samego startu. Moją śmiałość do grania różnych klimatów regularnie trenowałam jako świeżak w toruńskim klubie NRD podczas cyklu „Hałas”, gdzie noce naturalnie ewoluowały od techno po DNB. Co więcej, line-up mojej pierwszej imprezy, którą zorganizowałam w 2019 roku, debiutując jako promotorka w nieistniejącej już łódzkiej So-dzie, był tego najlepszym przykładem – postawiłam na mnogość gatunków i progresję brzmień z biegiem nocy. Ważnym momentem był też dla mnie set mojej ukochanej Baby T, na wspomnianym wcześniej Membrainie w 2022 roku. Był to mistrzowski i ogromnie inspirujący pokaz tego, jak odważnie i zręcznie można łączyć style, a w zasadzie zacierać granice między nimi.

Fakt, jestem najmocniej kojarzona z drum & bassem i te brzmienia mają w moim sercu szczególne miejsce. Jednak po kilku latach intensywnego eksplorowania jednego gatunku, zaczęłam się w nim trochę dusić i naturalnie poszukiwać kolejnych inspiracji. Kto powiedział, że DJ może grać tylko jeden klimat? No dobra, pewnie znajdzie się kilku czepialskich purystów, ale otacza mnie zbyt wiele świetnej muzyki, bym miała zamknąć się w sztywnych ramach. Nie postrzegam muzyki linearnie, jest to dla mnie przestrzeń wielowymiarowa, a całe moje didżejowanie to po prostu wyraz podążania za miłością do dźwięku. Moja selekcja będzie więc zawsze odbijać moje aktualne fascynacje, które stale ewoluują.

W jakim kierunku chcę iść? Dobre pytanie. Chciałabym po prostu zawsze grać to, na co mam w danej chwili największą ochotę i do czego sama najchętniej bym tańczyła. Nie ma w tym żadnej chłodnej kalkulacji czy podążania za modą – to po prostu odbicie mojej własnej, nieco rozbieganej zajawki. Podążam za tym, co mnie ekscytuje, bo tylko wtedy mogę grać autentyczne sety, które mają to „coś”, co ludzie świetnie wyczuwają.

W londyńskim radiu Aaja prowadzisz swoją autorską audycję „The Bambi Uzi Show”. Jak tam w ogóle trafiłaś i jak Ci się pracuje jako radiowiec?

Ekipa z Aaja Radio zgłosiła się do mnie sama w 2022 roku z propozycją autorskiego show. Zainspirowana radiowymi doświadczeniami wspomnianej Baby T (było to świeżo po jej secie na Membrainie!) zgodziłam się. Od tamtego czasu nagrałam 30 odcinków poświęconych szeroko rozumianej basowie (i nie tylko), jak również promowaniu polskich talentów. Ta przygoda niesamowicie mnie rozwinęła. Początki były wyzwaniem – praca z mikrofonem, oswojenie się z brzmieniem własnego głosu i prowadzenie audycji w pełni po angielsku wymagały ode mnie wyjścia z osławionej strefy komfortu. Było jednak warto – dziś swobodnie czuję się przed mikrofonem, ładnie doszlifowałam język i nauczyłam się budować radiową narrację.

To doświadczenie rozbudziło apetyt na coś więcej. Bardzo chętnie spróbowałabym swoich sił w polskim radiu, w autorskim formacie. Marzy mi się program na żywo, gdzie mogłabym wejść w głębszą interakcję ze słuchaczami i dzielić się nie tylko muzyką, ale też obserwacjami na temat kondycji sceny. Uważam, że w Polsce wciąż brakuje rzetelnego, odważnego dziennikarstwa muzycznego, które nie boi się poruszać trudniejszych tematów. Czuję, że mam coś wartościowego do powiedzenia. Radio jest idealnym miejscem, by ubrać te myśli w słowa i zainicjować dyskusję, której mi u nas brakuje.

Jesteś doktorem prawa i wykładasz na Uniwersytecie Łódzkim. Ciężko jest Ci łączyć zawód z pasją, zwłaszcza w weekendy, gdzie musisz być wieczorem w klubie, a rano na uczelni?

Momentami bywa intensywnie, ale kluczem do sukcesu jest logistyka i dobra organizacja. Obecnie mam ograniczoną liczbę godzin na uczelni, a dodatkowo mój grafik jest ułożony w taki sposób, by zajęcia nie kolidowały z graniem. Większość z nich prowadzę zdalnie, co ułatwia sprawę przy wyjazdach.

Stałam się też bardzo selektywna w przyjmowaniu bookingsów. Nie gram w każdy weekend i nie przyjmuję każdej oferty. Wybieram tylko te wydarzenia, które naprawdę mnie ekscytują i ludzi, z którymi chcę współpracować. Dzięki temu utrzymuję względny balans. Ta różnorodność daje



mi sporo świeżości i chroni przed popadnięciem w rutynę, co jest ważne dla każdego, a zwłaszcza dla osoby działającej kreatywnie.

Oprócz grania imprez, również je często organizujesz. Przydaje Ci się Twój zawód w branży muzycznej?

Gdybyś zapytał mnie o to kilka lat temu, pewnie odpowiedziałabym, że nie bardzo. Dziś jednak dostrzegam coraz więcej zalet wynikających z mojego prawniczego backgroundu. Praca bookerki to nie tylko muzyka i imprezy – to negocjacje, umowy, dbałość o detale, ridery i deadline'y. Moja prawnicza natura pomaga twardo stąpać po ziemi i zachować chłodny profesjonalizm w sytuacjach, gdy emocje biorą górę.

Wykonałam dość spektakularną wolte, przechodząc z profesji czysto prawniczej w świat muzyki i organizacji wydarzeń,

jednak warsztat, umiejętności i sposób myślenia ze mną pozostały. Nie tęsknię za żywotem korporacyjnym, jednak praca na uczelni daje mi stabilny fundament i satysfakcję, dlatego nie chciałabym z niej rezygnować – nawet, jeśli sam przedmiot moich zajęć jest mało „artystyczny”.

Niedawno przekonałam się, że te dwa na pozór odległe od siebie światy mogą się jednak przeciąć i to w sposób, jakiego nigdy bym się nie spodziewała. W czerwcu ubiegłego roku mój macierzysty Wydział świętował swoje 80-lecie. Po oficjalnych uroczystościach przyszedł czas na część artystyczną, którą zwieńczył mój DJ set zagrany w Auli Czerwonej – miejscu dla mnie wyjątkowym, w którym jeszcze kilka (no dobra, kilkanaście) lat temu sama przesiadywałam jako studentka. Historia zatoczyła koło – był to dla mnie wzruszający moment i najlepszy dowód na to, że te dwie sfery wcale nie muszą się wykluczać, a wręcz przeciwnie – może między nimi zachodzić fascynująca synergia. Dziś czuję, że bycie naukowczynią czyni mnie bardziej świadomą artystką, a pasja do muzyki pozwala mi wносить świeżą energię i otwartość do świata akademickiego.

W zaciszu domowym działasz również z produkcją muzyczną. Opowiedz nam, nad czym obecnie pracujesz i czego możemy się od Ciebie spodziewać?

Szczerze? Obecnie pracuję przede wszystkim nad urządzeniem domowego studia. (śmiech) Niedawno przeprowadziłam się do Poznania i wciąż szukam balansu w nowej rzeczywistości. Nie będę ukrywać – okres przeprowadzki i zadamawiania się w nowym miejscu w połączeniu z wejściem w rolę bookerki klubu pochłonię mnóstwo mojej energii.

Wraz z moim partnerem Alegrią marzyliśmy o tym, by w nowym domu mieć dedykowaną przestrzeń, która pomieści wszystkie nasze sprzęty i płyty. Szczęśliwie nam się to udało i jesteśmy teraz na etapie porządkowania i urządzania tej przestrzeni, która będzie służyła naszym kreatywnym działaniom. To właśnie tam zamierzam dawać upust moim artystycznym wizjom. Gdy tylko emocje związane z przeprowadzką opadną, a studio zacznie w pełni funkcjonować, planuję zanurkować w Abletonie.

To na koniec pytanie o Twój pseudonim artystyczny. Nie będę pytał o jego etymologię, bo o tym już mówiłaś w wywiadach. Zapytam natomiast żartobliwie o konsekwencje jego posiadania. Wspominałaś kiedyś o tym, że jesteś myloną z inną polską artystką oraz że nazwa marki broni też ostatnio nie pomaga.

Fakt, jeśli w ostatnich latach ktoś nie żył w naszym kraju pod kamieniem, to pewnie wie, że jest na scenie inna artystka o sarenkowym pseudonimie. Ja jednak byłam pierwsza. (śmiech) Dobrze pamiętam ten moment, gdy – funkcjonując już jakiś czas jako Bambi Uzi – natknęłam się w Internecie na newsa o początkującej raperce o ksywie tak podobnej do mojej. Nie byłam tym zachwycona, ale co zrobisz? We wcześniejszym researchu nie natrafiłam na osoby o zbliżonych pseudonimach, jednak w ostatnich latach zaobserwowałam ich kilka. Z polską Bambi muzycznie nie mamy zbyt wiele wspólnego, klimatem bliżej mi do kanadyjskiej DJ-ki, która również się tak nazywa, ma tylko dwa „i” na końcu. Specjalnie mi to nie przeszkadza, choć zdarzają się dość kuriozalne sytuacje. Kiedyś dostałam niecenzuralną wiadomość prywatną na Instagramie tylko dlatego, że ktoś pomylił mnie z tą drugą Bambi. Innym razem otrzymałam zaproszenie do głośnego polskiego podcastu, co również okazało się dość nietypową pomyłką. Zdarzają się też zabawne sytuacje – nie tak dawno temu mój tata zadzwonił do mnie z pytaniem, czy gram na jednym festiwalu, bo widział na autobusie plakat i była tam Bambi. Wyjaśniłam mu, że chodzi o inną osobę. Był uroczo oburzony tym, jak ktoś mógł skopiować moją ksywę. (śmiech)

A tak zupełnie na serio – być może nadejdzie czas na zmianę pseudonimu. Abstrahując nawet od „Bambi”, w dzisiejszej sytuacji geopolitycznej „Uzi” budzi wyjątkowo trudne skojarzenia, mam tu pewien dysonans. Jeśli poczuję potrzebę przyjęcia nowego artystycznego imienia, będzie ono pełniej rezonowało z tym, kim jestem i co jest mi obecnie bliskie. Rozbrykana sarna strzelająca dropami ma swoją historię, ale czas napisać do niej nowy rozdział. Zmiana jest przecież naturalnym etapem ewolucji.



Slow

Druga strona tego samego świata

Rozmawiali: Rafał Szaroleta, Dawid Balcerek

Zdjęcia: Artur AEN Nowicki

W Poznaniu pojawił się nowy klub. W miejscu, gdzie przez ostatnie lata działała Restauracja Rzemieślnicza, otworzył się muzyczny lokal Slow. Jest to nowy projekt włodarzy Tamy, a dokładnie Joanny Tomczak, która będzie odpowiadać za klub przy ul. Niezlomnych 2. Młodszy brat Tamy będzie muzyczną odskocznią starszej siostry, która obrała swoją drogę i sukcesywnie nią podąża. O tym, czym jest Slow i jaki będzie jego kierunek, opowiedziała nam wyżej wspomniana Asia, szefowa zamieszania.

Przez kilka lat prowadziliście Restaurację Rzemieślniczą, a teraz w jej miejscu otworzyliście Slow. Skąd taka zmiana i jak narodził się pomysł na nowy klub?

Po kilku latach prowadzenia Restauracji Rzemieślniczej poczuliśmy, że to dobry moment, aby pójść w stronę naszych marzeń. Chcieliśmy stworzyć miejsce, które połączy klub muzyczny z przestrzenią dla wyjątkowych wydarzeń: koncertów unplugged, imprez firmowych i kameralnych spotkań. Slow narodziło się z potrzeby stworzenia intymnej, przyjaznej przestrzeni, w której muzyka i atmosfera są w centrum uwagi, a ludzie mogą czuć się swobodnie, bez presji.

Otwarcie nowej przestrzeni w budynku Izby Rzemieślniczej trochę różniło się od otwarcia Tamy, gdzie od razu był Hedliner w postaci Tamy Sumo. Teraz zagrali lokalsi, więc nasuwa się pytanie, jaki kierunek zamierza obrać klub?

Slow stawia przede wszystkim na lokalnych artystów, ale chcemy też eksperymentować z różnymi gatunkami muzycznymi, ze szczególnym naciskiem na house. Kierunek jest otwarty,

jednak naszym priorytetem są jakościowe doświadczenia muzyczne i wspieranie lokalnej sceny, zamiast od razu stawiać na wielkie nazwiska.

Slow jest miejscem znacznie mniejszym niż Tama. Czy będzie działał regularnie weekendowo?

Tak. Slow będzie otwarte regularnie w weekendy, ale planujemy również wyjątkowe wydarzenia w ciągu tygodnia, które będą uzupełnieniem naszej głównej oferty. Chcemy, żeby każdy mógł znaleźć tu coś dla siebie – zarówno miłośnicy spokojniejszych, chillowych wieczorów, jak i bardziej tanecznych nocy.

W social mediach przebiła się informacja, że za klub odpowiadać będziesz Ty. Czy również Ty będziesz głównie odpowiedzialna za bookingi w Slow?

Tak, będę mocno zaangażowana w dobór artystów i organizację wydarzeń. Zależy nam, aby każdy koncert i każda impreza były spójne z charakterem Slow i odzwierciedlały nasze muzyczne pasje.

Tama lubi ciężkie brzmienia i nie jesteś w niej sama. Czy Slow to Twoja odskocznia, gdzie możesz się wyrazić muzycznie?

Zdecydowanie tak. Slow daje mi przestrzeń do wyrażania siebie muzycznie i do eksperymentowania w mniejszej, bardziej kameralnej skali. W przeciwieństwie do Tamy, gdzie kierunek muzyczny jest szerszy i cięższy, tutaj możemy pozwolić sobie na większą subtelność i różnorodność.

Na imprezie sylwestrowej zagrał Kendal. Czy możemy spodziewać się na imprezach jeszcze więcej house'owego groove'u?

Tak. Chcemy pokazywać różne oblicza muzyki elektronicznej, w tym house'owe brzmienia i groove, które idealnie pasują do kameralnej atmosfery Slow.

Czy w Slow planujecie cykle poświęcone młodym artystom?

Tak. Bardzo zależy nam na promowaniu młodych DJ-ów i producentów z Polski. Chcemy stworzyć przestrzeń, w któ-

rej mogą się pokazać, rozwijać swoje umiejętności i zdobywać pierwsze doświadczenia sceniczne.

Jak można było wywnioskować z Waszych wypowiedzi, klub powstał trochę z sentymentu. W Slow zagrały „stare” kolektywy poznańskie – Kukabara vs Das Erste Dance. Czy będzie więcej takich wydarzeń oraz zapraszania starych wyjadaczy?

Zdecydowanie tak. Slow powstało również z sentymentu do polskiej sceny muzycznej. Chcemy zapraszać legendy poznańskiej sceny oraz kultowe kolektywy i w ten sposób łączyć różne pokolenia klubowej kultury.

Oczywiście Tama i Slow to jeden organizm. Czy zamierzacie robić więcej imprez łączonych?

Tak, Tama i Slow są częścią jednego organizmu. Planujemy wydarzenia, które będą łączyć kameralność Slow z większą skalą Tamy. Przykładem jest cykl Obsession – jeden z naszych najmocniejszych formatów, który będzie kontynuowany. Slow będzie w nim pełnić rolę drugiej sceny. Tworzymy tam również osobny cykl, którego rezydentem jest Wojtek Kubiak (Basement). Zagra on w Slow już 20.02. Podobnie przy imprezie Tama: Kreem, gdzie będzie główna scena oraz druga scena w Slow z artystami: Chanel, Elch, Przytul_Go.

Przestrzeń Slow jest połączona z dziedzińcem Izby Rzemieślniczej. Czy tym razem Slow będzie latem zapraszał na letnie imprezy czy cały czas Tama?

Planujemy wykorzystywać dziedziniec, ale główne letnie wydarzenia nadal będą odbywać się pod szyldem Tamy. Slow ma pełnić rolę kameralnej przestrzeni na spotkania i imprezy, także w cieplejszych miesiącach.

Kiedyś powiedzieliście, że chcecie, żeby Tama była jak Berghain. W takim razie czym ma być Slow?

Jeśli Tamę porównywać do Berghain – surowej, kultowej przestrzeni – to Slow jest bardziej intymne, przyjazne i elastyczne, trochę jak Panorama. To po prostu druga strona tego samego świata. Chcemy, aby każdy czuł się tu swobodnie, odkrywał



nowe brzmienia i cieszył się muzyką w pięknej przestrzeni oraz dobrej atmosferze. Slow ma być miejscem, do którego ludzie wracają nie tylko dla muzyki, ale też dla wyjątkowego klimatu.

Slow – ul. Niezłomnych 2, Poznań

FB@slowclubpoznan

IG@slowclubpoznan



Powrót legendarnego klubu

neeVald zaprasza do Słodowni

Rozmawiał: Rafał Szaroleta

Zdjęcie: Sandra Iwańczuk

Piotr Niwald to człowiek instytucja. Ponad dwie dekady wierny gatunkowi house, z którym podbijał największe kluby w Polsce. Oprócz grania imprez i prowadzenia audycji radiowych, od niedawna również zapalony youtuber z kampera, a od kilku tygodni człowiek odpowiedzialny za wskrzeszenie kultowej Słodowni, która aktualnie jest najbadziej obleganym klubem w Poznaniu. Z Piotrem pogadaliśmy m.in. o jego dwudziestoletniej przygodzie z muzyką, zajawce dziennikarskiej, czy właśnie o nowo otwartym lokalu, gdzie gra pierwsze skrzypce.

**Pamiętasz, co urzekło Cię na początku w muzyce house i dla-
czego zacząłeś grać właśnie ją?**

To chyba jedno z najtrudniejszych pytań podczas wywiadów. To wyszło jakoś naturalnie. Gdy zaczynałem na imprezach grać muzykę, to bardzo lubiłem puszczać taneczne R&B. No i chyba z tych szybszych i bardziej emocjonalnych dźwięków wyłonił się soulful. Później tyłeczek zaczął bardziej ruszać się do południowo amerykańskich brzmień. No i usłyszałem disco, które mną zawładnęło – zaśpiewała Crystal Waters, Robin S, Rosie Gaines, czy Cece Peniston z całą świątą amerykańskiego disco i było po mnie. Dołożyłem pierwsze płyty Francuzów, pompujących Holendrów i to wszystko mnie rozłożyło na nuty. Tak to było!

Już 16 rok prowadzisz swoją autorską audycję „Sexy Sunday w Ibiza Global Radio. To kawał czasu i tysiące kawałków. Czy dla tych niedzielnych setów robisz jakąś specjalną selekcję?

Tak, robię. Słuchając nowych rzeczy odkładam kawałki do oddzielnych folderów, które później wykorzystuję w tych mixach na Ibizie. Tu wewnątrznie też następuje selekcja – na bardziej dynamiczne, progresywne granie i te, które buja w okolicach 100bpm i klasyfikuje się już jako lounge. Niektóre numery są tak dobre i uniwersalne, że używam ich na imprezach, setach i eventach. Ale to pojedyncze smaczki. One przeważnie zostają ze mną na dłużej, a część wpada do worka pt. *Classics*

Mamy rok 2014, a Ty zdobywasz główną nagrodę Munoludy w kategorii DJ/producent Roku Polska. Czy ta nagroda coś zmieniła wówczas w Twojej karierze? Był to wtedy jakiś przełom, który otworzył Ci nowe furtki?

Każda nagroda i wyróżnienie bardzo motywuje. Szczególnie takie, które jest na podstawie głosów klubowiczów. Ta nagroda była wyjątkowa, bo była z grona osób zajmujących się muzyką elektroniczną, ambitnym graniem i clubbingiem. Ja od zawsze byłem – ze względu na kluby, w których grałem i pewnie radio, które niosło popularność tego co robiłem – uważany za DJ-a komercyjnego. W rzeczywistości byłem bardziej klubowy niż większość maruderów. Z perspektywy czasu, to był chyba

powód do tego, żeby osoby, które „bały się” mnie muzycznie, miały powód do nie zapraszania mnie na imprezy, żebym nie pokazał swojego kunsztu, bo może ktoś będzie lepszy od nich.

Ta nagroda zwróciła uwagę i uszy szerszej publiki do tego co robię i jak robię. Zwłaszcza z kręgu dość zamkniętego clubbingu. To na pewno pomogło w tym, że pojawiłem się na świetnych klubowych eventach z muzyką elektroniczną, jako reprezentant wysokiego poziomu. Zawsze byłem taki sam i konsekwentny w tym co robię. To zostało bardziej dostrzeżone. Tak było.

Ja zawsze byłem uważany za DJ-a komercyjnego. W rzeczywistości byłem bardziej klubowy niż większość maruderów.

Praktycznie od samego początku uczestniczysz w festiwalu Sunrise. Jak wspominasz te wszystkie lata? Jak oceniasz nowy kierunek festiwalu, który obrał kilka lat temu?

Nie będę teraz oryginalny, że napiszę o najwspanialszych wspomnieniach z samego amfiteatru. Wtedy też nie było tylu festiwali, było rodzinnie i wyjątkowo. Czy było lepiej? Na pewno było inaczej, a my byliśmy młodszy i inaczej wszystko odbieraliśmy. A to co widzimy to rozwój. Sunrise nie mógł stać w miejscu. To co widzimy, to naturalna forma rozwoju, reagująca na trendy i zapotrzebowanie rynku. Tu nie ma miejsca na błędy. To duży biznes, kierowany przez ludzi kochających muzykę, którzy musieli też dostosować się do trendów. Małe festiwale z małymi budżetami mogą być offowe, ale wtedy nie będzie wielkich nazwisk. Szacun dla Sunrise. To polska marka od roku 2003, która przetrwała i jak widzimy potężnie się rozwinęła. Najważniejsze, że w tym 2026 roku house wraca na swoje miejsce na piedestale.

Ostatnio miałeś okazję supportować ATB, to duża postać. Czy masz może jeszcze – jako DJ – marzenie, które chciałbyś spełnić na scenie?

Hmm. Ja chcę mieć pełne parkiety uśmiechniętej wiary, czy to na Ibizie, czy w Poznaniu, gdziekolwiek będą. Niech się uśmiechają i tańczą – czy 50 osób na plaży, czy 6000 na festiwalu. A i cykl swój w Hi albo w innej dobrej dyskotecie na wyspie. (śmiech)



fot. Kamil Hadyński

Ja zawsze byłem uważany za DJ-a komercyjnego. W rzeczywistości byłem bardziej klubowy niż większość maruderów

Od jakiegoś czasu, na Twoim kanale YouTube pojawiają się również wywiady. Opowiedz nam coś o projekcie #djwka-prze.

To moja miłość do przyrody, wędkarstwa, podróżowania, trochę survivalu, słońca, lata, klimatu. W podróż kamperem zabieram ludzi związanych z branżą muzyczną lub ludzi kochających clubbing. Takie połączenie wszystkiego z dobrą muzyką w tle i ciekawymi gośćmi. Czekam aż się zrobi cieplej i lecę dalej w świat. Mam fajne nazwiska, plany i łowiska. Zapraszam do podróży ze mną, nie tylko tej muzycznej.

Na Twoich profilach czy mediach społecznościowych można znaleźć parę setów z różnych miejscówek – czy to na lotnisku,

czy na promenadzie w Słupcy. Jak dobieracie miejsca? Masz w zanadrzu kolejne ciekawe miejscówki?

Tak mam kolejne destynacje – morze, góry, kamper, wyjazdy. W tym sezonie chce, żeby było tego więcej, ale bez wielkich produkcji i szpanu. Chcę, żeby było bardziej naturalne i będę stawiał na realizację i świetny, prawdziwy, klubowy klimat.

Pod koniec zeszłego roku na klubową mapę Poznania wróciła Słodownia, gdzie pełnisz ważną rolę. Opowiedz nam, za co odpowiadasz w klubie i jaki macie pomysł na to miejsce.

Mamy pomysł na bardzo przyjazne i klubowe miejsce w Poznaniu. Miejsce spotkań, uśmiechów, ale i dobrej zabawy pod różne rodzaje house'u z super obsługą. Będziemy stawiać też na nowe trendy oraz sporo dobrze dobranej klasyki. Czy zagra latino, house, czy świetnie dobrane R&B w piątek – to ma być miejsce dla ludzi ceniących sobie jakość, ale też lekkość w klubie. Bez sztucznego udawania premium. Tu po prostu będziesz się dobrze czuć. Słodownia sama w sobie w obsłudze jest premium, bez haseł i obietnic. Ty masz się w niej czuć premium, czy to w trampkach szpilek, czy również modnych dresach. Poznań zasługuje na taki klub – ludzie tu kochają dobrą muzykę i świetną zabawę.

Skąd w ogóle pomysł na reaktywację Słodowni?

To wspólny pomysł ekipy z Klubu na Fali, Bartesa i mój. To nareszcie moment, kiedy spotkała się ekipa „podjaranców”, którzy myślą podobnie, znają się na rynku, na muzyce i ludziach. Są świetnymi partnerami i normalnymi luźnymi ziomkami na co dzień. Jest moc!

Czego możemy się spodziewać w nadchodzącym sezonie?

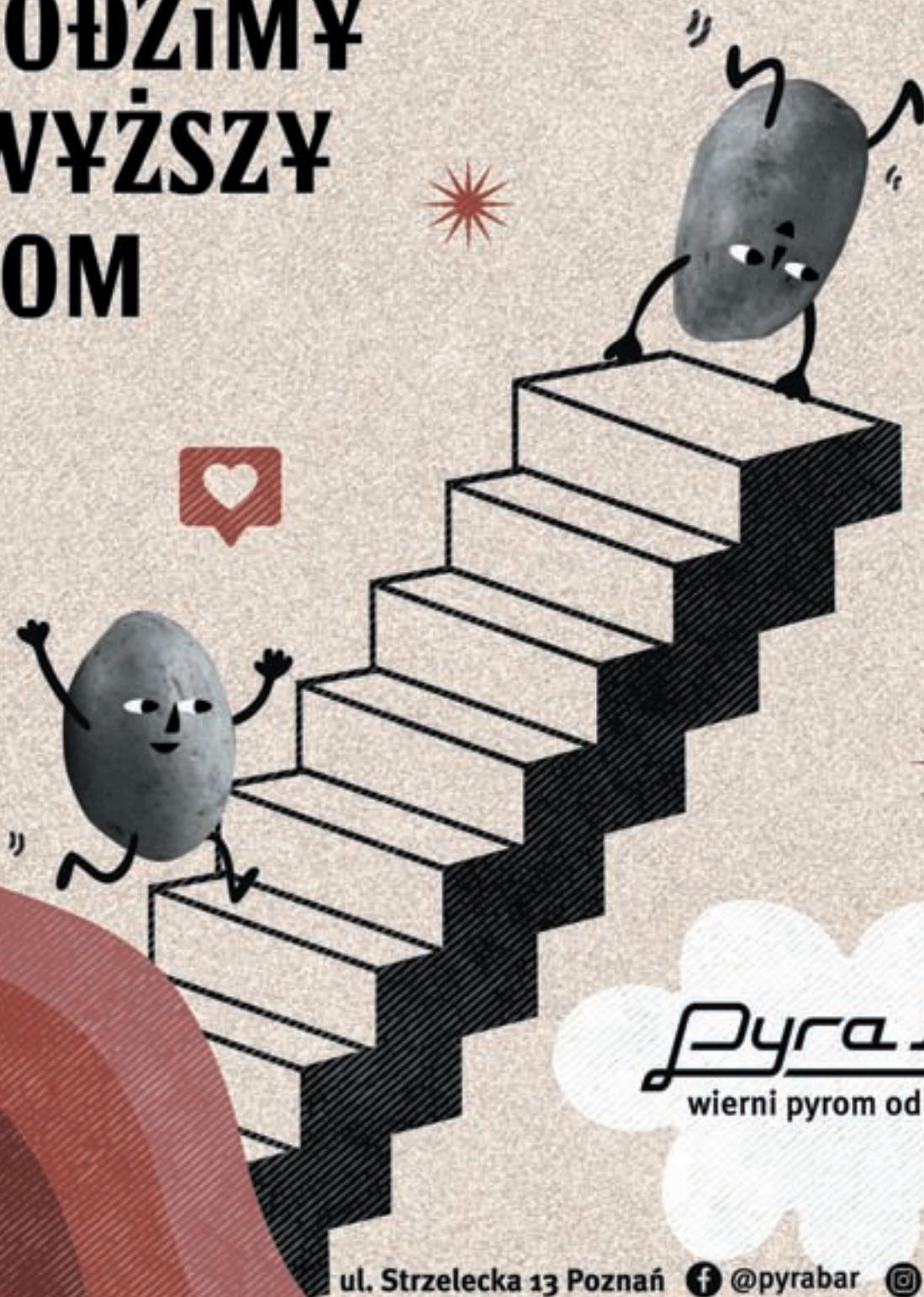
Najlepszych klubowych imprez w tym kraju. Sporo gości, DJ-ów, ale też instrumentalistów i wokalistów. Na pewno będzie wesoło, na luzie i z sercem!

Słodownia Club – ul. Półwiejska 42, Poznań

IG@slodowniaclub

www.slodowniaclub.pl

WCHODZIMY NA WYŻSZY POZIOM



Pyra bar
wierni pyrom od 2009r.

ul. Strzelecka 13 Poznań  @pyrabar  @pyrabar_



TEATR NOWY
IM. IZABELLI CYWIŃSKIEJ
W POZNANIU

BYLE DO WIOSNY

Luty i marzec
w Teatrze Nowym



WIELKOPOLSKA



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

VOLVO

FIRMA KARLIK

PRAPREMIERY:

Kinga Wyrzykowska

PORZĄDNI LUDZIE

reż. Piotr Kruszczyński

27 lutego | 20.00

Scena Nowa im. Sławy Kwaśniewskiej

Małgorzata Sikorska-Miszczuk

DIABEŁ I DZIEWCZYNA

reż. Marcin Liber

27 marca | 19.00

Scena im. Tadeusza Łomnickiego

WYDARZENIA:

TYDZIEŃ MŁODEGO TEATRU

3-8 marca

PAMIĘTAMY O CYWIŃSKIEJ

30 marca